

Zachowały się jak trzeba
– kobiety z Małych Ojczyzn
na Podlasiu

Białystok, 2022

Wydawca: Caritas Archidiecezji Białostockiej

Egzemplarz bezpłatny

Wersja elektroniczna jest dostępna na stronie Muzeum Wirtualnego
im. Władysława Piotrowskiego: www.wirtualnelapy.dklapy.pl

Projekt okładki, skład komputerowy: Jerzy Barańczuk

Opracowanie merytoryczne – seniorzy z klubu Dobry Czas
przy Parafii Rzymskokatolickiej św. Kazimierza Królewicza w Białymstoku

Opieka edytorska – Marian Olechnowicz

Warsztaty archiwistyczno-dziennikarskie – Marian Olechnowicz

Warsztaty malarskie – Justyna Worowska

Koordynator projektu – Elżbieta Węgierska

Korekta: Grażyna Janczyk, Alina Murawska-Kalbarczyk

Fotografia na okładce – Maria Borowska-Beszta z synem Tadeuszem

Druk i oprawa: druk-24h

Fotografie pochodzą z albumów rodzinnych osób,
których biografie znalazły się w tej publikacji.

Autorzy dziękują za ich udostępnienie

Nakład: 500 egzemplarzy



ARCHIDIECEZJI
BIAŁOSTOCKIEJ

„Zachowały się jak trzeba
– kobiety z Małych Ojczyzn na Podlasiu”

Projekt realizowany
przez Caritas Archidiecezji Białostockiej.

**Zadanie publiczne jest finansowane
ze środków Województwa Podlaskiego.**



Podlaskie

Zachowały się jak trzeba

Czyli jak? „Inka” zachowała się jak trzeba. Jej biografia jest czysta, jak łą. Chociaż są tacy, którzy tej dziewczęcej, czystej łąy nie dostrzegają. Zachowały się jak trzeba – kobiety z Małych Ojczyzn na Podlasiu. Niełatwo odpowiedzieć na tak postawione pytanie. Pomogło życiowe doświadczenie naszych seniorów. Najpierw rodzina, a więc wzorowa: córka, żona, matka, babcia – godząca poświęcanie się innym ludziom z życiem rodzinnym.

Musi to być kobieta mająca w sobie tradycyjny polski patriotyzm, nie na pokaz, lecz kiedy trzeba. I wiarę. Nieważne jakim znakiem oddaje cześć Najwyższemu i jak Go nazywa. Jej wiara też nie na pokaz, ale i nie skrywana wstydliwie. Gospodarna w domu i aktywna w pracach społecznych. Charyzmatyczna, pozytywnie nastawiona wobec innych ludzi, nawet tych, którzy mogą jej nie lubić, bo przecież i tak może się zdarzyć. Jak i gdzie takich szukać? Nie jest to trudne, gdyż w każdej Małej Ojczyźnie lokalna społeczność potrafi bez wahania wskazać taką osobę.

To praca nie na jeden projekt. Przecież tych naszych Małych Ojczyzn jest tak wiele, w każdej gminie, sołectwie, czy osiedlu. Może tych kobiet już nie ma wśród nas, a może są. I już zyskały powszechne uznanie, chociaż one nawet o tym nie wiedzą. Warto więc takie znaleźć, spisać biografie, opowieści rodzinne, opinie sąsiadów, a nawet lokalnych władz. Szczególnie w obecnych czasach, kiedy w miejsce naszych tradycyjnych wzorców wdzierają się inne, niekoniecznie lepsze.



LISTA OSÓB UCZESTNICZĄCYCH W PROJEKCIE
„ZACHOWAŁY SIĘ JAK TRZEBA
– KOBIETY Z MAŁYCH OJCZYZN NA PODLASIU”

- | | |
|-------------------------------|-------------------------|
| 1. CHŁUS Maria | 17. PISZCZATOWSKA Maria |
| 2. DRYGLAS Cecylia | 18. SADŁOWSKA Czesława |
| 3. GOŁĘBIEWSKA Barbara | 19. PODWYSOCKI Sławomir |
| 4. GOTLIB Benedykta | 20. STANKIEWICZ Maria |
| 5. GÓRECKA Maria | 21. SZCZERBA Aleksandra |
| 6. JANCZYK Grażyna | 22. SZEWIEL Teresa |
| 7. JAWOROWSKA Wiesława | 23. SZYMAŃSKA Halina |
| 8. KALINOWSKA Regina | 24. ŚMIETAŁO Bożena |
| 9. KARPIUK Wiesława | 25. WUDARCZYK Maria |
| 10. KŁOPOTOWSKA Teresa | 26. ZAKRZEWSKA Irena |
| 11. LASKOWSKA Irena | 27. MUĆKO Elżbieta |
| 12. LEGUN Danuta | 28. WASILEWSKA Daniela |
| 13. MACIEJEWSKA Łucja | 29. GROMEK Danuta |
| 14. MAKAREWICZ Anna | 30. STRAPCZUK Walentyna |
| 15. MALINOWSKA Renata | 31. KALATA Zofia |
| 16. MURAWSKA-KALBARCZYK Alina | 32. MATCZUK Jadwiga |

Danuta Siedzikówna ps. Inka

„Jest mi smutno, że muszę umierać. Powiedzcie mojej babci, że zachowałam się jak trzeba”. Danuta Siedzikówna ps. Inka została aresztowana w Gdańsku rankiem 20 lipca 1946 roku. 3 sierpnia 1946 roku Wojskowy Sąd Rejonowy w Gdańsku skazał ją na śmierć. Rozprawa, zakończona tak surowym wyrokiem, trwała zaledwie kilka godzin.

Urodziła się 3 września 1928 roku we wsi Guszczewina koło Narewki, w obecnym powiecie hajnowskim. Była drugą, z trzech córek leśnika Wacława Siedzika i Eugenii z Tymińskich.

W 1939 roku Danuta miała rozpocząć naukę w szkole sióstr salezjanek w Różanymstoku. Jej plany pokrzyżowała wojna.

Sowieci zabrali ojca

Po klęsce wrześniowej rodzina Siedzików doświadczyła okrucieństw z rąk dwóch okupantów. W 1939 roku Białostocczyzna znalazła się pod okupacją sowiecką. Leśnicy znaleźli się na czele listy tych, którzy mieli zostać zlikwidowani przez NKWD. Leśniczy Wacław Siedzik został aresztowany, a następnie wywieziony w głąb państwa sowieckiego. W 1941 roku odzyskał wolność. Trafił do polskiego wojska gen. Władysława Andersa. W Teheranie został komendantem obozu dla polskich uchodźców cywilnych. Tam też zmarł. Do końca służył wiernie Ojczyźnie.

Niemcy uśmiercili matkę

Sowieci wypędzili Eugenię Siedzik oraz jej trzy córki z leśniczówki. Znalazły przyjazny kąt w Narewce. Matka Danuty podjęła współpracę z tworzącą się konspiracją podległą Rządowi RP na Uchodźctwie. Z całą pewnością, już po wejściu na te ziemie Niemców, była zaprzysiężonym członkiem Związku Walki Zgrojnej – Armii Krajowej. Jesienią 1942 roku została aresztowana przez Gestapo i przewieziona do więzienia w Białymstoku. Prawie rok trwała jej więzienna



gehenna. We wrześniu 1943 roku znalazła się na liście rozstrzelanych w podbiałostockim lesie Grabówka. Jej córka Danuta miała wówczas 15 lat. Trzy dziewczyny – sieroty przysparzała babcia.

Sanitariuszka Inka

Swoją służbę Ojczyźnie rozpoczęła, gdy jej matka była jeszcze na wolności. Sprytna i rezolutna nastolatka została partyzancką łączniczką i kurierem. Radziła sobie świetnie. Dziewczyna przeszła nie tylko krótkie szkolenie wojskowe, ale też sanitarne. W 1944 roku na Białostocczyźnie zakończyła się okupacja niemiecka. Danuta, wciąż nastoletnia, podjęła pracę w miejscowym nadleśnictwie. Nie czas było na naukę. Musiała przecież pomóc babci i siostram. Nowa, komunistyczna władza, pod szyldem Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego i Polskiej Partii Robotniczej, przy pomocy sowieckich bagnetów, rozpoczęła czyszkę terenu z elementów patriotycznych, a przede wszystkim eliminację żołnierzy Armii Krajowej. Nie pozwolono Danucie żyć w spokoju.

6 czerwca 1945 roku, wraz z innymi pracownikami Nadleśnictwa, została aresztowana. W czasie transportu do białostockiego więzienia kolumnę samochodów skutecznie zaatakowali żołnierze z patrolu 5 Wileńskiej Brygady AK. Wszyscy uwolnieni trafili do partyzanckiej bazy. To wówczas Danuta spotkała mjr. Zygmunta Szendzielarza ps. Łupaszka. Zdecydowała pozostać z partyzantami jako sanitariuszka. Dokąd miała pójść? W Narewce, ba w całej Polsce, była poszukiwana przez bezpiekę. Jesienią tego samego roku mjr. Łupaszka, na czas zimy, rozwiązał Brygadę. Inka wyjechała do Olsztyna. Bezpieka o niej nie zapomniwała. Jeszcze w 1945 roku dotarła do niej informacja o aresztowaniu siostry Wiesławy. Ubecy szybko zorientowali się w swej pomyłce. Uwolniona Wiesia przekazała wiadomość, aby Danuta nie pokazywała się w rodzinnych stronach. I postarała się o nową tożsamość. Tak też Inka uczyniła. Zatrudniła się w charakterze kancelistki w leśnictwie Miłomłyn koło Ostródy. Tymczasem w styczniu 1946 roku 5 Brygada wznowiła działalność. Inka została wezwana do służby i przydzielona jako sanitariuszka do szwadronu dowodzonego przez ppor. Zdzisława Badochę ps. Żelazny. Wykonywała też zadania partyzanckiej kurierki. W czerwcu 1946 roku została wysłana do Gdańska. Wczesnym rankiem 20 lipca 1946 roku nastąpiło jej aresztowanie. Wszystko, co potem nastąpiło było pokazowe: przesłuchanie, tortury, proces sądowy i wyrok, a nawet egzekucja. Władza ludowa nie miała pobłażania dla „bandytów” mjr. Łupaszki.

„Jest mi smutno, że muszę umierać. Powiedzcie mojej babci, że zachowałam się jak trzeba”.

Zdanie to należy tłumaczyć nie tylko odmową podpisania prośby o ułaskawienie, lecz także przebiegiem śledztwa, podczas którego, poza pseudonimami kolegów, niczego i nikogo nie ujawniła.

Wyciąg z wyroku

Inkę skazano dwukrotnie na karę śmierci, utratę praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na zawsze oraz przepadek mienia na rzecz Skarbu Państwa – „...za przynależność do organizacji, która miała na celu usunięcie ustanowionych organów władzy zwierzchniej narodu przemocą i zmianę istniejącego demokratycznego ustroju państwa polskiego, przy czym udział jej przejawiał się w uczestnictwie wraz z bandą, w charakterze sanitariuszki, w akcjach oraz za to, że jako członek oddziału dopuszczała się wielokrotnie zamachów na funkcjonariuszy UB, MO, SOK, żołnierzy Armii Czerwonej i członków organizacji politycznej”.

Dodatkowo, jak na ironię, za nielegalne posiadanie broni, otrzymała wyrok 15 lat więzienia.

Warto na koniec zapytać, w którym momencie swojego krótkiego życia ta dziewczyna nie zachowała się jak trzeba?



Grafika: Elżbieta Węgierska

Studzianki – kocha to miejsce

Już po kilku minutach rozmowy z Mirosławą Bezdziel wiedzieliśmy, że będzie nie lada problem. Jak o niej napisać na dwóch, maksymalnie trzech stronach książki? Jednak spróbować warto, gdyż nie można nie napisać.



Piętnaście mniejszych lub większych projektów, trzydzieści sześć warsztatów tematycznych i spotkań, siedemnaście pokazów publicznych, osiem imprez dla mieszkańców wsi lub gminy. Wiele z nich należy pomnożyć kilka razy, a to dlatego, że są to działania cykliczne. Trudno zmieścić ogrom pracy w tej wyliczance, a jeszcze trudniej ogarnąć jej efekty...

Mirosława Bezdziel, z domu Olchowik, to rodowita mieszkanka Studzianek w gminie Wasilków. Jest z wykształcenia nauczycielem nauczania początkowego. Do niedawna pracowała w miejscowej szkole. Po przejściu na emeryturę nie pozwolono jej odpocząć. Zresztą pani Mirosława nie ma zamiaru zwyczajnie, po ludzku odpoczywać. Teraz pracuje w jednej ze szkół w pobliskim Wasilkowie. Najlepszą formą relaksu są realizowane z wielką pasją... pasje. Prawie wszystkie o Studziankach i dla Studzianek. Świetnie zna dzieje swojej studziankowskiej rodziny. Oczywiście, aby było sprawiedliwie, także dzieje rodziny męża. Są trudniejsze do zbadania, tłumaczy pani Mirosława, gdyż wywodzą się oni z dalekiej Kurlandii.

Kiedyś proponowali jej pracę w Białymstoku. Została w szkole w rodzinnej wsi i rodzinnym domu Olchowików. – Lubię moją wieś. Chcę, żeby dobrze nam się żyło – mówi Mirosława, jak to ona – z pasją. Mnie jest tutaj bardzo dobrze – dodaje.

Szybko złapała wiatr w żagle, gdy w latach 90. ubiegłego wieku zaczął się dobry czas dla organizacji pozarządowych, czyli pieniądze na realizację ciekawych pomysłów. Właśnie wówczas ukończyła studia, więc jej naturalny zapał do działania wzmacniała młodzieńcza energia. Tak więc wymyślała i wciąż wymyślała – wszystko dla Studzianek. Niewiele razy ze swoimi pomysłami i projektami wyszła poza granice wsi. Kiedyś wystarała się o pieniądze

na pojemniki na śmiecie. Pojawiły się więc w każdym gospodarstwie. Wkrótce w okolicznych lasach zniknęły dzikie wysypiska. Pomogły dzieci ze szkoły, które w ramach małego projektu zajęły się sprzątaniami tego, co wyrzucili do lasu dorośli, najczęściej rodzice. Jest teraz czysto wokół domów i w lesie. Jej dumą jest oczyszczony i zagospodarowany staw przeciwpożarowy. Kiedyś to było śmierdzące, zabagnione wysypisko śmieci. W dodatku przy powiatowej drodze. Wstyd. Pani Mirosława szybko zrobiła z tym porządek. Oczywiście za pieniądze z projektu. Jednak największym jej sukcesem był remont wiejskiej świetlicy. Nie podobało się pani nauczycielce, że dzieciaki przesiadują wieczorami na przystanku autobusowym. Wymyśliła, że w starym, opuszczonym budynku urządzi świetlicę. Zdobyła pieniądze. Zaczęła od piwnicy. W remoncie pomogła rodzina i przyjaciele. Już wkrótce, w całym przyzwoitych pomieszczeniach, organizowano szkolenia, warsztaty, występy, imprezy, a nawet półkolonie. Rozbudowa świetlicy wymagała kolejnego projektu i dużych nakładów pieniężnych. A także odpowiedzialności za tzw. trwałość projektu, czyli miało coś się dziać przez kolejnych 5 lat. Wszystkim zajęła się pani Mirosława. I przez wspomniane lata pilnowała, aby budynek tętnił życiem. Tak już zostało. Jest więc w świetlicy duża sala, dobra na różne okazje, a także zaplecze kuchenne. Odbywają się próby zespołu ludowego, spotkania Koła Gospodyń Wiejskich i harcerzy. Mają swoje pomieszczenia: klub sportowy i wiejska biblioteka. O tym, co robiła w swojej szkole można napisać wiele rozdziałów. Projekty, projekty i jeszcze raz projekty. Z korzyścią dla dzieci, szkoły i wsi.

Jednak nie tylko projekty są pasją jej życia. Przez wiele lat inicjowała, albo aktywnie włączała się do wszelkich działań przeciwstawiających się lokalizacji uciążliwych dla środowiska i ludzi inwestycji w pobliżu Studzianek. Batalia była ciężka i długotrwała, ale najważniejsze, że zwycięska. I przełożyła się na bardziej dynamiczny rozwój rodzinnej miejscowości.

Historia jej pasji

Mam w domu bogatą kolekcję pamiątek rodzinnych – mówi pani Mirosława. Wiele materiałów wyszukałam w archiwach. Przy okazji zdobyłam nieco wiedzy o moich Studziankach. Nawet stare mapy wyszperałam. Najstarsza pochodzi z 1850 roku – tłumaczy. Z dumą opowiada o domu rodzinnym dziadków ze strony swojej mamy. Był naprawdę duży, a w salonie stało najprawdziwsze pianino. W gromadzeniu dokumentów, zdjęć i wspomnień bardzo pomogły szkolne dzieci. To z nimi robiła różne projekty historyczne. Wszystko można obejrzeć w internecie. – Historia, którą gromadzę nie może leżeć w szufladach. Zbieram to wszystko od ponad 30 lat. Niektóre nasze pomysły cieszyły się dużą popularnością, szczególnie te fotograficz-

ne, np. seria fotografii, po dwie obok siebie: dziadkowie w ich dzieciństwie, zaś obok współczesne zdjęcia wnuków. Porównanie było arcyciekawe. Były też wystawy zdjęć ślubnych, a także z dziejów naszej szkoły. Wszystko żmudnie wyszperane i dokładnie opisane. Na jednej ze szkolnych, starych fotografii było ponad sto dzieciaków. I aż 104 twarze udało się zidentyfikować – mówi z dumą. – Od wielu lat podążam śladami starosty wasilkowskiego imię Jana Kruszeńskiego. Żył w XVIII wieku, a mieszkał w Studziankach. Zasłynął sprzeciwem wobec palenia kobiet oskarżonych o herezję lub czary. O tym staroście pani Mirosława mogłaby opowiadać godzinami. Oczywiście z pasją. – Wszystkie krzyże i kapliczki w gminie sfotografowałam i opisałam – wylicza. – Do szkolnego muzeum zebrałam ponad 300 eksponatów. Przy okazji dzieci uczyły się konserwacji tych zabytków. Potrafiły także nazwać wszystkie przedmioty, w dodatku podpisały je w dwóch językach. Tych, które są używane przez mieszkańców Studzianek. Zorganizowałam naukę tkania na starych warsztatach tkackich. Dzieci miały frajdę i ciekawą lekcję historii – dodaje. – Z każdego małego sukcesu potrafię się cieszyć, ale najbardziej z tego, że udało się zrobić porządek z Górą Krzyżową. Jej opowieść, a przede wszystkim wiedza o tym miejscu, jest fascynująca. Tymczasem za oknem już prawie noc. Pora wracać do Białegostoku, ale najpierw zadaliśmy nauczycielce Mirosławie Bezdziel pracę... domową.

Praca domowa o... wykonanych pracach

Niełatwo zrobić „rachunek sumienia” z minionego 30. lecia. Jednak pani Mirosława, jak na dobrą nauczycielkę przystało, pracę domową rzetelnie odrobiła, więc poczytajmy:

Moim dorobkiem w stowarzyszeniu jest kilka programów z dziedziny ochrony dziedzictwa przyrodniczo-geograficznego, m. in. takich jak:

- *Organizacja systemu wywozu* – likwidacja dzikich wysypisk śmieci i zorganizowanie wywozu śmieci przez profesjonalną firmę,
- *Stworzenie miejsc ostoi dla dzikich zwierząt na szlaku ich wędrówek* – nasadzenia śródpolne i przydrożne,
- *Agroturystyka w Studziankach* – szkolenia, warsztaty,
- *Ratujemy Mikołajkowy las* – rekultywacja dzikiego wysypiska śmieci, wybudowanie platformy widokowej, mostku na rzece Supraśl i miejsca na ogniska ze stolikami i ławeczkami,
- *Renaturalizacja oczka wodnego* – likwidacja dzikiego wysypiska śmieci i odtworzenie oczka z platformą widokową,
- *Lekcja z Sonią* – kształtowanie właściwych postaw w stosunku do bezpańskich zwierząt, *Kultura tkwi w nas* – przygotowanie placu i wybudowanie amfiteatru na imprezy plenerowe oraz likwidacja dzikiego wysypiska,

- *Przegląd teatrzyków inspirowanych środowiskiem* – prezentacja różnych teatrzyków dziecięcych,
- *Upcykling – nowe życie starych ubrań* – kształtowanie postaw proekologicznych poprzez zmianę nawyków konsumenckich,
- *Upcykling – nie wyrzucaj pluszaka* – prezentowanie, jak zbędne zabawki przekształcić w użyteczną kukiełkę lub pacynkę,
- *Radio nasze okno na świat* – przez rok działało internetowe „Radio Młodych”, w którym pracowało kilkunastu młodzieżowych dziennikarzy,
- *Dwa projekty Centrum Edukacji Obywatelskiej Ślady przeszłości związane z historią naszej wsi, Nasze muzeum i Krzyże i kapliczki* – dokumentacja fotograficzna i opis.
- *Projekt „Odnowa Wsi” z Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich* – dzięki któremu została wyremontowana świetlica,
- *Ptasia stołówka* – odtworzenie i pielęgnacja zadrzewień i zakrzewień tradycyjnymi odmianami drzew i krzewów,
- *Przystanek – zadanie* – przygotowanie wystawy zdjęć „*Życie mieszkańców Studzianek dawniej*”,
- *Góra Krzyżowa* – ograniczenie antropopresji góry,
- *Oczko wodne* – renaturalizacja oczka wodnego.

– Zorganizowałam siłownię podwórkową koło budynku świetlicy. Z pozyskanych finansów z funduszu sołeckiego, odrestaurowane zostały przystanki, jako mała wiejska architektura. Zebrałam materiały do monografii Studzianek i szkoły, którą wybudowano 1898 roku, a także kilkaset eksponatów etnograficznych do wiejskiego muzeum. Zaadaptowałam pomieszczenie w ramach projektu *Świetlica środowiskowa*, w której prowadzone były warsztaty, wystawy, wernisaże, różne spotkania, szkolenia dla dzieci, młodzieży i dorosłych. W większości środki pozyskiwane są z różnych fundacji, urzędów i sponsorów.

Na bazie wspomnianej świetlicy były realizowane projekty Fundacji Wspomagania Wsi: *Pożyteczne ferie i... Pożyteczne wakacje*.

Organizowałam imprezy środowiskowe *Dni Studzianek, Piknik ekologiczny*. Odbywały się one w ramach supraskiego Uroczyska.

Utworzyłam w Studziankach dziecięcy zespół folklorystyczny *Płomyki*.

Trudno zliczyć wiejskie przedstawienia jasełek, happeningi, wycieczki, rajdy, spływy kajakowe, warsztaty tematyczne. Niełatwo zsumować ilość napisanych artykułów, nagranych audycji radiowych, publikacji na stronach internetowych. Oczywiście o Studziankach. Najtrudniej zliczyć wszystkie zrealizowane pomysły i projekty szkolne, te remontowe, sprzętowe, ale też i te realizowane z dziećmi i dzieciom. Przecież każdego roku coś się działo...

Gdybym wiedziała, że dostanę taki temat pracy domowej, to sporządziłabym porządną listę wszystkich uczestników tych projektów i akcji. Uzbierałaby się całkiem pokaźna ekipa. Przecież w ich realizacji uczestniczyły nie tylko dzieci, ale także dorośli.

To jasne, że niczego nie da się zrobić w pojedynkę. Jednak musi być ktoś, kto nakreśli cele, znajdzie fundusze, przekona i pozyska ludzi, a potem weźmie na swoje barki odpowiedzialność za to, co zostanie zrobione.

Mirosława Bezdziel rzetelnie napisała o swych dokonaniach. Po prostu nie wstydzi się tego, co zrobiła, gdyż życie ją nieraz doświadczyło, że sukces ma wielu ojców, czasami nawet zbyt wielu.

Ci, którzy ją znają, wiedzą iż wkrótce trzeba będzie dopisać kolejne zrealizowane projekty. Bo taka jest właśnie Mirosława Bezdziel ze Studzianek, w gminie Wasilków. Nauczycielka, kobieta z głową pełną pozytywnych pomysłów...

Cieszy też fakt, że jej praca jest nie tylko dostrzegana, ale i doceniana. Za działalność na rzecz ochrony środowiska została uhonorowana nagrodą Zielonego liścia, za wielką aktywność społeczną odznaką Zasłużony dla Białostockizny. Otrzymała także Medal Ministra Edukacji Narodowej oraz medal Zasłużony dla Kultury Polskiej. Jednak to całkiem nie znaczy, że osiadła na tzw. laurach...

Syna dobrze wychowała

Doktor Tadeusz Borowski-Beszta. Psychiatra. Jego ojca zamordowali Rosjanie. Matkę, wraz z kilkuletnim synem i jego dziadkiem, zesłali do Kazachstanu. Dziadek nie przeżył tej gehenny. Matka ochroniła syna przed śmiercią. I dobrze wychowała.

Maria z Grabowskich Borowska-Beszta urodziła się w 1899 roku w Zambrzycach. W drugim roku I wojny światowej rodzina wyjechała do Petersburga. Tam ukończyła średnią szkołę handlową. Do Łap Grabowscy wrócili w 1919 roku. Maria zgłosiła się do znajdującego się tutaj szpitala wojskowego i podjęła pracę jako sanitariuszka. Chorzy lub ranni przebywali w dwóch dużych, prywatnych domach. Młoda dziewczyna bardzo przeżyła śmierć nastoletniego polskiego żołnierza. Niosła pomoc medyczną także w 1920 roku, gdy w Łapach, w budynku szkolnym, ponownie został zorganizowany lazaret. Później zatrudniła się w Kasie Stefczyka w Łapach. W 1933 roku wyszła za mąż za oficera rezerwy kapitana Marcina Borowskie-

go-Beszczę. W 1934 roku na świat przyszedł ich jedyny syn Tadeusz. Wiosną 1939 roku mąż został zmobilizowany i trafił do Wojskowej Komendy Uzupełnień w Mińsku Mazowieckim. Jesienią tego samego roku powrócił do rodzinnego domu. Tuż po świętach Bożego Narodzenia wezwano go do siedziby NKWD w Łapach i zatrzymano. Wkrótce aresztowano również Marię, z synem Tadeuszem oraz jego dziadkiem Marcinem Grabowskim. Wszyscy zostali wywiezieni do Kazachstanu. Tam zmarł Marcin Grabowski. W 1946 roku Maria przywiozła do Polski odcięte i znekrotyzowane jego palce, które mu wprost odpadły. Złożyła je w grobie. Zamieszkała, wraz z synem, w rodzinnym domu przy ulicy 11 Listopada (3 Maja) w Łapach. W 1991 roku, za wierną służbę Ojczyźnie, została awansowana do stopnia podporucznika Wojska Polskiego. Zmarła w kwietniu 1992 roku.



Opowieść syna o mamie

– W kwietniu 1940 roku Sowieci przyszli po nas. Mama dobrze wiedziała czym jest bolszewia – wspomina doktor. – Enkawudziści dali nam pół godziny czasu na spakowanie się. Mama już miała przygotowany kuferek z bielizną pościelową. Na zesłaniu cięła tę pościel na chustki i haftowała nitkami. Miejscowe kobiety z chęcią to brały, w zamian dając jakieś jedzenie. W kazachskim kołchozie Kazanka przygarnęła nas rodzina Dobrowolskich – Polaków wywiezionych w 1936 roku z sowieckiej części Ukrainy. Niewielki, jednoizbowy domek był zbudowany z surowych bali, z glinianym klepiskiem zamiast podłogi. Dach był pokryty darnią. W jednej izbie mieszkało sześć osób. Dzieci i chorzy mieli przywilej spania na piecu – wspomina zesłaniec.

Maria Borowska była schorowaną osobą, więc nie mogła pracować. Nawet Sowieci uznali, że nie nadaje się do pracy w kołchozie. Jej ojciec Mar-

cin Grabowski również niedomagał. Maria jednak dbała o swego kilkuletniego syna. Tymczasem pewnego dnia Tadeusz wpadł do chaty wołając: Mama, ja „chaczu kuszać”. Matka czyściła wówczas popiołem żeliwny garnek. – I takim gwaczem, czyli brudną ścierką dostałem po buzi – wspomina syn – Bez słowa komentarza to było. Otrzymałem wówczas najkrótszą lekcję wychowania patriotycznego i antysowietyzmu. Później w domu po rosyjsku już nie mówiłem – tłumaczy. – Pamiętam, jak w szkole przymuszano, abym wstąpił do organizacji pionierów. Mama dobrze wiedziała, że zrobią tam pranie chłopięcego mózgu. Poszła więc do szkoły i tak wyjaśniła: Z mojego Tadeusza nie będzie dobrego pioniera. On wierzy w Boga. To żaden pionier wśród świątłych pionierów – ateistów. Tylko szkodę przyniesie – przekonywała. Tadeusza do pionierów nie wzięli.

Bardzo dbała o swojego jedynaka. W Kazachstanie przez wiele miesięcy trwa naprawdę sroga zima. Natomiast lato, choć krótkie jest niezwykle upalne. – Pamiętam, jak mama wyjęła z naszego polskiego kuferka całkiem nowe spodenki z... krótkimi nogawkami – snuje swą opowieść doktor. – Zawsze starała się, abym był schludnie ubrany. Ja zaś, na widok tych spodenek, rozbeczałem się na dobre. A to dlatego, że żaden dzieciak w kołchozie nie miał krótkich spodenek, a tym bardziej nowych.

W Kazance kolonia polska była dość liczna. Niektórzy prosili panią Marię, aby ich dzieci nauczyła pisania i czytania po polsku oraz historii ojczystej. Już w 1941 roku, po układzie Sikorski – Majski, pozwolono nawet na dodatkowe lekcje z języka polskiego. Do kołchozu zaczęła trafiać gazetka wydawana przez Związek Patriotów Polskich. Pani Borowska nie zwracała zbyt wiele uwagi na treści w niej zawarte. Jednak taka gazeta była bardzo pomocna w nauce czytania w języku polskim. – Mnie nauczyła polskiego pacierza i modlitw – wspomina syn-. Inne polskie dzieci też nauczyła. Z biegiem czasu Polaków w kołchozowym posiołku ubywało. – Zabierali naszych – tłumaczy doktor – do budowy kolei, wywożąc całymi rodzinami w nieznane. Nas zostawili, ponieważ uznano za „wybrakowanych”. Mama była schorowana, ja i dziadek do ciężkich prac się nie nadawaliśmy.

-W maju 1946 roku powiedziano nam, że będzie transport Polaków, ale nie powiedziano kiedy to nastąpi. Pamiętam, że przez kilka dni szalał wówczas buran, czyli burza śnieżna. Świata nie było widać. Jedyne okienko w chatce było całkiem zasypane śniegiem. Nagle usłyszeliśmy wołanie: Pani Borowska, wyjeżdżamy ze wsi! To był głos Henryka Pogorzelskiego z Pogorzałek koło Białegostoku, który zorientował się, że nas nie było w gromadce szykujących się do transportu. Chyba Bóg nad nami się zlitował i wysłuchał gorącej mojej modlitwy o powrót do Ojczyzny – dodaje doktor. Na szczęście

dogoniliśmy polską kolumnę, gdzie w zaprzęgach szły powolne woły. My, dzięki Heńkowi, mieliśmy wóz z koniem pociągowym. Dlatego dogoniliśmy naszą kolumnę zdążającą do Polski.

Rodziny wracające do Ojczyzny ulokowano w budynku szkolnym. – Cały miesiąc czekaliśmy na dalszy transport, który miał nas wywieźć z Rosji – wspomina doktor Borowski-Beszta. – Pamiętam ten moment, kiedy do mnie dotarło, że już jesteśmy w kraju. Pociąg zatrzymał się na stacji. Mama podprowadziła mnie do okna. I wówczas zobaczyłem kolejarzy w mundurach, z polskimi orzełkami na czapkach. Byliśmy bardzo wzruszeni. W mojej pamięci utkwiał obraz tych kolejarzy – w rękach trzymali bułeczki z białego pieczywa i... kiełbasę.

Znowu w domu

Na szczęście dom rodzinny w Łapach ocalał. Ciotka Markiewiczowa pomogła Marii Borowskiej-Beszcie znaleźć pracę w warsztatach kolejowych. Miała przecież, jak na ówczesne czasy, bardzo dobre wykształcenie. Ukończyła w Petersburgu średnią szkołę handlową. Syn zaczął uczęszczać do szkoły powszechnej, szybko nadrabiając zaległości. I został ministrantem. Dorastał przecież w domu mocno wrośniętym w religię katolicką. Pobyt na zsyłce w Kazachstanie tylko tę wiarę umocnił. I z domu rodzinnego do kościoła było całkiem blisko. – Na pewno mama wpoila we mnie tę wiarę – tłumaczy doktor. – A nauka w szkole? Przyznam, że nie było lekko. Przecież tyle lat spędziliśmy na zsyłce, ale moja mama, jeśli pomagała w nauce, to niezbyt często, a zawsze dyskretnie. Może w ten sposób uczyła mnie samodzielności? – zastanawia się Tadeusz Borowski-Beszta – Znalazła też bardzo dobrą korepetytorkę, czyli Klementynę Błaszczyk. Była ona nauczycielką w łapskim gimnazjum. Dzięki niej dogoniłem moich rówieśników. Zresztą oni też mieli wojenną przerwę w nauce – tłumaczy doktor. – Tymczasem mama próbowała przez Polski Czerwony Krzyż dowiadywać się, bez większej nadziei, o losie męża, a mojego ojca – wyjaśnia nasz rozmówca. – Potem zaniechała. Może dlatego, aby mnie to nie zaszkodziło? – dodaje.

Tadeusz był w liceum w Łapach wyróżniającym się uczniem i sportowcem. Jednak na wymarzone studia medyczne nie został przyjęty. W szkolnej księdze protokołów z posiedzeń Rady Pedagogicznej zachowała się adnotacja: Uczeń wybitnie zdolny w nauce i sporcie. Ze względu na pochodzenie społeczne nie jest wskazana rekomendacja na studia. – Składałem egzamin pisemny i się nie dostałem – wspomina doktor Tadeusz Borowski-Beszta. – Moi koledzy mieli słabsze wyniki w szkole średniej, ale dostali się. Moja mama nie rozczułała się nade mną. Zbyt wiele doświadczyła zła, w dodatku wielokrotnie, ze strony bolszewizmu, aby teraz miała rozpaczać. Tak więc

Tadeusz nie otrzymał indeksu na wymarzone studia medyczne, zaś mama wystarała się synowi o pracę w łapskiej filii GS „Samopomoc Chłopska” w Kowalewsczyźnie. Syn Marii mógł rozpocząć studia dopiero po śmierci Józefa Stalina.

Studia i po studiach

– Na studia medyczne wybrałem się do Białegostoku – tłumaczy nasz gospodarz – Przez kilka miesięcy mieszkałem na stacji blisko aresztu przy ulicy Kopernika. To tutaj Sowietrzy trzymali mojego ojca – dodaje wzruszony. Zapracowana mama nie odwiedzała syna. To on często zaglądał do łap. Syn dobrze wiedział, że na pewno wróci na stację z przepysznymi wędlinami. – Moja mama jakoś radziła z tą swoją samotnością – tłumaczy doktor – Niełatwe przecież miała życie, jak zresztą wiele kobiet z jej pokolenia. Była zawsze taka spokojna. Wiedziała, że dobrze sobie radzę. Na chwilę doktor popada w zamyślenie. Nagle uśmiecha się. – Kiedyś mama zamówiła całkiem eleganckie palto – mówi doktor – Byłem wtedy w gimnazjum. Palto było przydługie, sięgające aż do kostek. Mama zamówiła u krawcy palto „na zapas”, gdyż pod koniec nauki w gimnazjum zacząłem dość szybko rosnąć. No i to palto służyło mi przez kilka dobrych lat – sumuje opowieść doktor.

Nagle znowu ożywia się. –Tylko jeden jedyny raz mama była bardzo wzburzona. Tuż po studiach dostałem pracę w szpitalu w Choroszczy. A wkrótce ofertę studiów w... ZSRR. Uczelnia znajdowała się w Leningradzie. Nawet podobała się mnie ta propozycja, ale nie mamie. Pamiętam dobrze jej wzburzenie i słowa pełne goryczy – Chcesz do Rosji? W Rosji straciłam ojca i męża – mówiła. – Ty dziadka i ojca. Zapomniałeś już czego doświadczyliśmy na zesłaniu? – mówiła wzburzona. Trafiła do szpitala z głęboką depresją – dodaje, też z goryczą, syn Marii Borowskiej. Jej choroba, wynikająca z troski o syna, a wyrosła z życiowych doświadczeń tej kobiety, skłoniła Tadeusza do zostania psychiatrą. – Lekarze różnych specjalności – tłumaczy nasz gospodarz – leczą stronę cielesną człowieka. Po prostu zajmują się jego ciałem. Psychiatra sięga do jego pozacielesnego wnętrza – umysłu. Choroba mojej mamy pomogła mi dostrzec wielką rolę stanu psychicznego człowieka w jego zmaganiach z chorobą, ale przede wszystkim zachowania dobrego zdrowia.

Syn zrezygnował z wyjazdu do Związku Radzieckiego. Maria Borowska-Besza powróciła do zdrowia i rodzinnego domu w Łapach. Często odwiedzał swoją matkę, która aż do emerytury pracowała w biurze rachunkowym ZNTK w Łapach. Na chwilę milknie, aby znowu powrócić do wspomnień. – Mama zawsze troszczyła się o mnie, ale robiła to dyskretnie. Dyskretnie zaplanowała też moje małżeństwo z panną spokrewnioną z naszą rodziną.

Wybrałem jednak moją Alicję. Otóż na początku lat 50. zawiązała się przy naszej parafii nieformalna grupa młodzieży katolickiej. Co robiliśmy? Otóż staraliśmy się czcić polskie święta narodowe: 3 Maja, 15 sierpnia i 11 Listopada, czyli takie, które wówczas były zabronione. Pamiętam, jak przed Świętem Niepodległości uporządkowaliśmy Grób Nieznanego Żołnierza na cmentarzu w Łapach. A zrobiliśmy to nocą. W tej grupie była Alicja Dobrzyńska, studentka polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim. Znałem ją od czasów nauki w gimnazjum. Była dziewczyną stanowczą, która nie wstydziła się swoich bardzo patriotycznych poglądów. Podziwiałem ją. Wkrótce została moją żoną. Doktor znowu milknął na chwilę, a uśmiech błąkał się na jego twarzy. – Mamie nie powiedziałem o naszym ślubie – tłumaczy. – Już po fakcie nasze małżeństwo zaakceptowała. Zapraszaliśmy często moją mamę do Białegostoku. Przecież w Łapach była tam sama, a lat jej przybywało. Jednak wolała być w swoim domu. U nas tylko kilka dni potrafiła wytrzymać. Potem udało się nam kupić niewielkie mieszkanko w bloku na naszym osiedlu przy ulicy Pułkowej w Białymstoku. Obok mieszkała mama mojej żony. Miały więc dwie staruszki nas blisko i dobrą opiekę. Wspomniałem na początku, że mama była chorowitą osobą, ale przecież dożyła tak pięknego wieku. Byłem przy mamie do końca. Ma ona swój grób na cmentarzu w Łapach. Jest na nim symboliczna tablica poświęcona kpt. Marcinowi Borowskiemu-Beszcie, a w grobie szkatułka z... palcami Marcina Grabowskiego...

Położna to służba

Maria Gorbacz-Drozd przez prawie 20 lat pracowała w izbie porodowej w Narewce. Były to czasy wyżu demograficznego w Polsce. – Miesięcznie przyjmowaliśmy 60 – 80 porodów – mówi pani Maria. – Uzbierało się więc całkiem pokaźne grono obywateli. Wystarczy pomnożyć 20 x 12 i jeszcze x 60...

W klasie maturalnej dokonała wyboru: Zostanie położną. – Pewnego dnia przyjechały do ogólniaka w Michałowie dziewczyny ze Studium Położnictwa w Białymstoku, aby zachęcić do nauki



właśnie u nich – tłumaczy pani Maria. – Nie bardzo słuchałam ich opowieści, lecz zapatrzyłam się w stroje pielęgniarskie: czepki i bielutkie fartuchy. Wyglądały ślicznie. I od razu wiedziałam, że mnie nie trzeba namawiać. – Śmieje się gospodyni. Tak trafiła do szkoły przy ulicy Warszawskiej w Białymstoku.

Dzieciństwo spędziła we wsi Jałówka. Rodzice mieli trochę ziemi i czwórkę dzieci. – Sprawiedliwie Bóg przydzielił: dwie córki i tyleż synów – śmieje się gospodyni. O rodzicach i rodzeństwie mówi z szacunkiem, ale krótko. Woli o swej pracy, chociaż zaczyna opowieść dość niezwykle. – Gdybym miała jeszcze raz wybierać – tłumaczy. – Nigdy nie zostałabym położną. Tymczasem opowieścią temu zaprzecza. Wspomina o swej nauce i pracy, jakby to było wczoraj. Ona po prostu nadal żyje położniczą pasją.

Dwa lata nauki w szkole dla położnych. Nauczyciele dobrze przygotowywali do zawodu. – Bardzo bałam się robienia zastrzyków – wspomina emerytowana położna. – Po prostu byłam całkiem zablokowana. Instruktorka zawodu na różne sposoby próbowała mnie przełamać. Udało się dopiero na mojej praktyce w szpitalu w Choroszczy. Nagle usłyszałam wołanie o pomoc. Przybiegłam do sali, a pielęgniarka z lekarzem trzymali pacjenta leżącego na łóżku. – Szybko, podaj mu zastrzyk dożylny. On umiera – ponağłał lekarz. – Wkłułam się natychmiast. I... zrobiłam to jak trzeba – dodaje pani Maria. – Potem okazało się, że oni to wszystko ukartowali, aby ze mnie zrobić dobrą pracownicę służby zdrowia. W 1957 roku w szpitalu przy Warszawskiej samodzielnie odebrałam pierwszy poród. Na szczęście obyło się bez komplikacji. Na świat przyszła dziewczynka. Łatwo policzyć, ile ma teraz lat. Profesor Józef Musiatowicz pięknie nas przygotował na położne. Jego wskazówki mam w głowie zakodowane i teraz. W mojej pamięci utkwiał jego wykład na temat podawania leku zwanego strofantyną. Nie wiem, czy on nadal jest w aptekach. Na egzaminie też było pytanie o ten lek. Pamiętam, że popłakałam się z rozpaczy, że źle napisałam. Okazało się jednak, że wszystko było w porządku. Strofantynę w zastrzyku należy podawać dożylnie, bardzo, ale to bardzo powoli – tłumaczy.

W 1957 roku Maria Drozd została położną. Od razu trafiła do ośrodka zdrowia w Narewce.

– Ślub z moim Sergiuszem wzięłam w 1961 roku – wspomina. – Do swojego nazwiska dodałam jego – na doczepkę. W razie czego łatwo odczepić – żartuje kobieta. – Jak na położną przystało na świat wydała czwórkę dzieci, sprawiedliwie – dwie córki i dwóch synów. Sława pracuje w służbie zdrowia, a medycynę studiuje moja wnuczka – mówi z nutką dumy gospodyni.

Izba porodowa w Narewce

– Przyjechałam tutaj we wrześniu 1957 roku... żelaźniakiem – snuje opowieść – przywiózł mnie ojciec. Na furkę załadował worek ziemniaków. Abym miała co do garnka włożyć. Dumny był ze mnie, że taką pracę dostałam. Było co robić od pierwszego dnia. Były to przecież czasy wyżu demograficznego, a wsie dość ludne: Lewkowo, Olchówka, Eliaszuki, Masiewo... W ośrodku pracował felczer Aleksander Łuszyński. Dobry fachowiec. Izba porodowa też była przyzwoita – pięć łóżek dla noworodków. No i łóżko porodowe. Była też izba wypoczynkowa. Do pomocy miałam dwie salowe. Też miały ogrom roboty. Praca położnej to naprawdę była służba, jak w wojsku – objaśnia. – O każdym wyjeździe z Narewki musiałam meldować. Po powrocie również meldowałam się. Byłam też „kwatremistrzem” naszej izby porodowej. Przygotowywałam jadłospisy, zamawiałam produkty. Z tym był nieraz kłopot, ale na szczęście zawsze ofiarnie pomagały rodziny rodzących kobiet. Jak było więcej pacjentek w naszej izbie, to i jedzenia nieraz było aż nadto – śmieje się pani Maria.

Służba w czepku

– Tamten Sylwester był mroźny i śnieżny – wspomina gospodyni. – Ludzie szli na różne potańcówki, kobiety długimi sukniami zamiatały śnieg. Ja też szykowałam się na bal. Nagle telefon. Dzwonili ze szpitala w Hajnówce. Trzeba natychmiast jechać do Masiewa. Kobieta tam rodzi, karetka ugrzęzła w zaspach. – Leśniczy z Guszczewiny po panią przyjedzie – objaśniał lekarz – No i miałam swoją sylwestrową zabawę. Kobieta koniecznie chciała rodzić u nas w Narewce, ale wiedziałam, że nie dojedziemy. Kazałam leśniczemu, aby zatrzymał się w Lewkowie. No i kobieta rodziła w prywatnym domu. Dobrze, że łóżko tam mieli dość wysokie. Dostałam dwa krzesła z oparciami. Takie to łóżko porodowe wymyśliłam. Na szczęście poród był bezproblemowy. Jeszcze tej samej nocy dojechaliśmy saniami do Narewki, wioząc kobietę z noworodkiem. Martwiłam się o nią. Zadzwoiłam do szpitala. Powiedzieli, że wszystko jest w porządku, a lekarz mnie bardzo chwalił – dodaje z nutką satysfakcji emerytowana położna.

Kiedyś odbierałam poród w naszej izbie. Dziecko przyszło zdrowe na świat, ale z matką nie było dobrze. Łożysko nie chciało odejść. Kobieta krwawiła, a pogotowie z Hajnówki znowu nie mogło dojechać na czas. Musiałam sama wszystko zrobić, aby potem nie była konieczna rewizja. No i zrobiłam. Następnego dnia chciałam złożyć podanie o zwolnienie z pracy. Za bardzo to wszystko przeżyłam. Wtedy zadzwonił do mnie lekarz z hajnowskiego szpitala. Znowu dostałam podziękowania za dobrą robotę. Wszyscy wówczas gratulowali, bo w tym samym czasie młoda kobieta wykrwawiła się im

na śmierć. W szpitalu, a nie uratowali – kobieta na chwilę milknie, wyszukując w pamięci ciekawe wątki ze swej pracy. – Zima była – mówi po chwili. – W naszej izbie rodziła kobieta z Eliaszkówki. Na szczęście dojechał doktor z Hajnówki. Poród był naprawdę ciężki. Wokół główki dziecka, które było jeszcze w łonie matki, okręciła się pępowina. Noworodek mógł się udusić. Trzymałam więc rękę w pachwinie kobiety, podtrzymując główkę noworodka, aby ta pępowina go nie udusiła. Płakałam. Lekarz zrobił cesarskie cięcie. Udało się, jak należy. Nawet nie poczułam, kiedy z moich kolan zabrali dziecko. Nadal siedziałam nieruchomo. Dopiero po pewnym czasie przypomnieli o mnie – śmieje się kobieta. – Podobnie było z noworodkiem z Odrynek. Pępowina opłótła jego główkę. Trzymałam dziecko na rękach, aż prawie mi omdlały. Na szczęście w porę przyjechała karetka. Lekarz od razu zapytał, czy czuję, że pępowina tętni? A ja przecież swoich rąk nie czułam! Wytrzymałam tak całą drogę do szpitala – tłumaczy. – Takie wspomnienia cieszą mnie nawet po tylu latach. Są też i te smutne. Kiedyś trafiła do naszej porodówki młoda kobieta. Cięża była ładnie donoszona, matka całkiem zdrowa, a dziecko okazało się martwe. Nie miała do mnie, ani do nikogo innego żalu. Oł, stało się. Bardzo chciałam, aby w szpitalu zrobili sekcję zwłok, ale matka nie zgodziła się. I tylko wciąż powtarzała, że nie ma do nikogo żalu. A na sekcję powinna była się zgodzić, abyśmy poznali przyczynę tej tragedii – dodaje emerytowana położna. – Kiedyś trafiła na izbę pacjentka z tzw. ciążą poprzeczną. Tutaj trzeba naprawdę dużego wyczucia i... pomysłu, bo to ciało dziecka jest takie delikatne. I udało się. Byłam całkiem wyczerpana, ale i uradowana – dodaje kobieta.

Nawet po tylu latach pamięta skąd te wszystkie pacjentki pochodziły, pamięta też ich nazwiska. – Kiedyś rodziła matuszka z Lewkowa. Poród był trudny, a krwawienie dość mocne. Nie chciała jednak, abym wezwała karetkę. Wolała zostać u nas w Narewce. No i poradziłam jakoś. Krwawienie ustało. Namówiłam ją jednak na przewiezienie do Hajnówki. Niech lekarze lepiej nią się zajmą. I pojechała. Potem zadzwonił do mnie lekarz i pochwalił, że jest wszystko jak trzeba. Pamiętam jeszcze jeden przypadek. Na porodówkę przywieźli dorodną, wysoką kobietę. Wiedziałam, że może być ciężko, bo i dziecko miało być wielkie. Kobieta mnie pocieszyła, mówiąc abym spokojnie spała. Wszystko będzie dobrze. Ta pacjentka z naszej Narewki urodziła bez żadnych problemów. A dziecko – rekordzista ważyło aż 6 kilogramów. Nikt tej wagi nie przebił – śmieje się kobieta.

Po dość długiej chwili milczenia mówi prawie z namaszczeniem – Tak właśnie teraz pomyślałam, że praca położnej ludziom kojarzyła się z nowym życiem. Jednak w tamtych czasach wyglądało nieraz to bardziej poważnie –

tłumaczy. – Ode mnie – położnej naprawdę wiele razy zależało życie dwojga ludzi: rodzącej kobiety i przychodzącego na świat dziecka. Tak właśnie było. Boże ty mój, tyle razy ratowałam życie – dodaje wzruszona.

Codzienna wdzięczność

– Na ileż to ja chrzcin byłam kiedyś zapraszana? – wspomina. – Tak dziękowali rodzice noworodków za moją pracę. – Nie wypadało odmawiać. Tutaj przecież wszyscy się znają. Chrześniaków mam dwunastu, a odmówiłam pięć razy. Dwunastka to i tak aż nadto! – tłumaczy. – Dorośli dobrze wiedzą, że to ja im pomagałam przyjść na świat. Kiedyś w sklepie mężczyzna mnie zaczepił, mówiąc iż od swojej mamy dowiedział się, że to ja byłam przy jego przyjściu na świat. Zaprzeczyłam, tłumacząc, że samych łysych odbierałam, bo ciągnąc za główki wszystkie włosy im wyrywałam, a on taki kudłaty. Śmieli się wszyscy w sklepie.

Maria Gorbacz Drozd – położna z Narewki. Od wielu lat jest na emeryturze. Jej opowieści można słuchać z zapartym tchem. Tak wszystko dobrze pamięta. W dodatku umie pięknie opowiadać. Można z tych jej opowieści wysnuć jeden wniosek – kochała swoją pracę nade wszystko, więc zachowywała się jak trzeba...

Kocha ludzi, śpiew i kwiaty



Luba Gawryluk osiedliła się w Koźlikach w 1995 roku. Polubiła tę wieś i jej mieszkańców. Jej życiową pasją jest śpiew. Bardzo też kocha kwiaty. To daje siłę w zmaganiach z życiowymi problemami.

Pochodzi z okolic Trześcianki. – Moi rodzice: Aleksandra i Mikołaj Mińko mieli 10 – hektarowe gospodarstwo w kolonii Stawek – zaczyna swą opowieść nasza gospodyni. – I siedmioro dzieci: pięć dziewczynek i dwóch chłopców. Poradzili bez 500+ ani innych zapomóg – dodaje z uśmiechem. – W kolejności byłam druga. Nasz ojciec był człowiekiem bardzo pracowitym. Znał się na kopa-

niu studni, stolarce, a nawet cały dom potrafił przeciągnąć na nowe miejsce. Mama była też bardzo pracowitą kobietą. Dwadzieścia pięć pięknych kap na łóżka sama utkała i wyhaftowała. Córkom na posagi. W 1944 roku Niemcy spalili Trześciankę i wszystkie domy w okolicy. Tylko plebanię baciuszki zostawili, bo tam założyli szpital wojskowy. Nasz dom w Stawkach też spalili. Przez wiele miesięcy mieszkaliśmy w naprędce zbudowanej ziemiance. Mama gotowała w garnkach stawianych na ceglach. Po odejściu Niemców na plebanię sześć rodzin zamieszkało. Swój dom najszybciej odbudował mój ojciec, bo znał się na stolarce.

Pani Luba, po chwili milczenia, znowu wraca do wspomnień. – Moi rodzice żyli długo i szczęśliwie, chociaż tak byli zapracowani. Kłaniam się moim rodzicom, że mnie też nauczyli pracowitości. Mama nauczyła wszystkie swoje dzieci codziennej modlitwy. Zanim poszłam do szkoły już piętnaście pacierzy znałam. Pieśni cerkiewnych też nauczyła, a ojciec wojskowych – dodaje pani Luba. – Pomagałam rodzicom w gospodarstwie. Krowy i owieczki pasałam, w sadzie jabłka zbierałam, rodzeństwem się zajmowałam. Długo by wszystko wyliczać – dodaje.

W 1962 roku została żoną Włodzimierza Gawryluka. Ona miała 20 lat, zaś jej ukochany był o pięć lat starszy. Wkrótce małżonkowie przenieśli się do Białegostoku, gdzie łatwiej było znaleźć pracę.

– Z zawodu jestem bibliotekarzem – mówi pani Luba. – Krótko pracowałam w bibliotece w Trześciance. Założyłam też zespół ludowy. Tymczasem dziewczyny szybko powychodziły za mąż i... po zespole. Tylko ja umiałam pogodzić śpiew z małżeństwem – dodaje. – Żadnej pracy się nie boję. Jak przyszły na świat dzieci: Ala, Basia i Janek, to zajęłam się chałupnictwem. Robiłam w domu kosmetyczki, więc i łatwiej było dziećmi się opiekować. W Białymstoku śpiewałam w chórze cerkiewnym, ale to było za mało, więc założyłam zespół ludowy. Próby były w naszym mieszkaniu. Dziewczyny miały głosy jak dzwony, a przygrywał Stefan Kopa. Wesoło było – tłumaczy. Wesoło więc też mieli nasi sąsiedzi z bloku.

W Koźlikach...

– Nas zawsze ciągnęło na wieś – mówi pani Luba. – Własne podwórko i ogródek, własne owoce i kwiaty. Tutaj można wyjść i oddychać świeżym powietrzem – tłumaczy. – Trafiło się do kupienia siedlisko Korolczuków w Koźlikach. Warto dodać, że miejsce jest bardzo historyczne, bo to przecież zaścianek Bohatyrowiczów z filmu „Nad Niemnem”. Nie ma już ławeczki na której przesiadywał Anzelm Bohatyrowicz, ale zachowała się drewniana brama wjazdowa. Na nowym miejscu pani Luba szybko wrosła w lokalną społeczność.

– Byłam na kilku pogrzebach – wspomina. – Ludzie dostrzegli, że ładnie śpiewam. A ja też usłyszałam kilka dobrych głosów. No i wymyśliłam, że założymy zespół. Któregoś dnia poszłam po wsi, od domu do domu. Niełatwo było, bo mężowie protestowali. Ale zespół powstał i nazwaliśmy go Raczeńka, bo przy Koźlikach rzeczka płynie. Nazywa się Czarna Kłoda. Nie mogliśmy tak nasz zespół nazwać, bo w nim same siwe głowy – śmieje się gospodyni. – I tak śpiewamy już kilkadziesiąt lat, po polsku, białorusku, ukraińsku, ale nie po angielsku – dodaje mrużąc nieco szelmowsko oczy.

Robótki bez chwili wytchnienia

– Jak nie ma roboty w ogródku lub na podwórzu, to siedzę i wyszywam. Pokazuje nam robótki. Najpierw wizerunek św. Mikołaja. Nie bez powodu właśnie tego świętego. – Kiedyś, gdy byłam dzieckiem, pasłam pod olszyną nasze owieczki – mówi. – Nagle pojawiły się dwa wilki. Jeden mnie zaatakował, chociaż w rękę miałam solidnego kija. I ugryzł tego kija. Krzyczałam, wrzeszczałam wniebogłosy, aż w Trześciance ludzie usłyszeli. Wilki uciekły, a ja głos całkiem straciłam. Wozili mnie po doktorach, szeptuchach i znachorach. Dopiero nieco głos wrócił, jak ojciec zawiózł mnie do babki w Orli. Nadal nie było dobrze. Miałam sen, że byłam nad wielką rzeką. Szukałam sposobu, jak przez nią przejść. Znalazłam wreszcie wąziutką kładkę, na którą bałam się wejść. Nagle dojrzałam brodatego starca na drugim brzegu rzeki. Dobrymi słowami dodawał mi odwagi, więc przeszłam po tej kładce. Długo miałam w pamięci tego dziadka. I co dalej? Byłam kiedyś w cerkwi w Królowym Moście i tam go znalazłam w... ikonie św. Mikołaja Cudotwórcy. Można było kupić taką samą, lecz nieco mniejszą, więc kupiłam. Ikona została w Białymstoku, ale tutaj też mam św. Mikołaja Cudotwórcę, zrobionego krzyżykami. To dzięki temu „Dziadkowi” głos mi powrócił – dodaje, pokazując z dumą swoją robótkę.

–Telewizji nie oglądam. Wolę słuchać radia – kontynuuje opowieść. – W radiu jest więcej piosenek. Całe życie szyłam córkom sukienki i spódnice, a Januszowi spodnie z białego materiału, z haftowaną kotwicą na kieszonce. Kiedyś mój ojciec dał skóry owcze, już wyprawione, aby najstarszej córce krawiec kozuch uszył. Zaniostałam te skóry, a ten się skrzywił i... odmówił wykonania roboty. Źle wyprawione, przypalone – powiedział. – Nic z nich nie będzie. Bałam się ojcu o tym powiedzieć. Wróciłam do domu, pomyślałam, podumałam i wymyśliłam. Z papieru krój wycięłam i na córce przymierzyłam. Basia dostała wyszyty przeze mnie kozuch, bo spokojniejsza. Na Ali długo by nie wytrzymał. Ludziom kozuch się spodobał i namówili, abym im też szyła. No i wyszyłam kilka kozuchów, ale to ciężka, ręczna robota – dodaje pani Luba.

Kilka opowieści na pożegnanie...

– Najlepiej gdyby inni o moich dzieciach opowiedzieli – tłumaczy pani Luba. – Ale jestem z całej trójki dumna. Ala zagra na harmonii, pięknie zaśpiewa, a jak ślicznie wyszywa! – mówi z entuzjazmem kobieta. – Basia też wszystko umie. Jest żoną prawosławnego duchownego. Mieszkają na południu Polski. A syn Janek mieszka w Białymstoku i pracuje w browarze. – Też jest bardzo pracowity – dodaje pani Luba. – Jak wszyscy w naszej rodzinie.

Ech, zaśpiewać by gościom z Białegostoku trzeba. Córka Ala więc sięga po akordeon i kobiety zaczynają na dwa głosy: skocznie, wesoło, a przede wszystkim pięknie. Godzinami można tak słuchać opowieści pani Luby i rodzinnego śpiewania. Jednak czas nam w drogę. Jeszcze tylko wspólna fotografia przy bramie wiodącej na podwórze – bo to przecież zaścianek Bohatyrowiczów z filmu „Nad Niemnem”.

– Należy wciąż coś robić, kiedy serce jest mocne – doradza na pożegnanie – I wiedzieć, że jednak kiedyś osłabnie. Trzeba o tym pamiętać. Łatwiej przez życie z piosenką iść, bo nieraz jest ona lepsza od najlepszego i najdroższego lekarstwa. Przyznanych dyplomów, pucharów i medali ma całą kolekcję. – Metalowych odznaczeń też mam dużo – śmieje się gospodyni. – Czasem przyczepiam je do czarnej marynarki, ale jak idzie burza to odkładam. Za dużo na marynarce żelaza – tłumaczy. – Piorun może trafić...

Nagle poważnie, co jej niezwykle rzadko się zdarza. – Muszę wam na koniec coś opowiedzieć – mówi. – Od 30 lat choruję. Kiedyś leżałam w szpitalu, a nasz zespół miał próbę przed ważnym występem, więc córka kupiła mi nowoczesny telefon. No i zrobiłyśmy próbę – one śpiewały w Koźlikach, a ja w szpitalnym łóżku. Pojechałam nawet z nimi na te występy. Lekarzom powiedziałam, że muszę na jeden dzień do notariusza, w sprawie testamentu, więc mnie wypuścili. No i zaśpiewałyśmy, a po koncercie prowadzący wziął mnie na scenę, do mikrofonu i tak powiedział: Pani Luba jest ciężko chora, ale do nas przyjechała. Módlmy się wszyscy, aby wyzdrowiała. Ludzie płakali, córka płakała, a ja z uśmiechem dziękowałam, bo modlitwa innych o moje zdrowie jest cenniejsza od mojej własnej do Boga. Pomodlimy się za panią Lubę i jej bliskich. Aby śpiewała jeszcze przez długie lata – tak powiedział konferansjer.

Na koniec gospodyni zaprasza nas na krótki spacer po ukwieconym podwórzu, częstując pysznymi kronselskimi na drogę.

Dom Gawryluków w Koźlikach – gościnny, rozśpiewany – nasz podlaski.

Siła spokoju sołtys Eugenii

Jak znaleźć w gminie Wasilków kobietę do naszej książki? Nikt nie zna tak dobrze gminy, jak Antoni Pełkowski, który przez kilka kadencji był tam burmistrzem. Bez namysłu wytypował: Eugenia Górko – sołtys ze Studzianek. Szukamy potwierdzenia, dopytując mieszkańców tej wsi w... sklepie. – Bez naszej Eugenii we wsi nie byłoby niczego – kwituje jedna z kobiet.



Ludzie mogą wiele dopowiedzieć o swoim sołtysie, ale od Eugenii Górko trudno wyciągnąć cokolwiek. Bo niby cóż takiego zrobiła, że zasłużyła na opisanie? Tymczasem, czekając na nią, podziwiamy centrum kulturalno – rekreacyjne wsi: piękną świetlicę, drewnianą wiatę do grillowania, siłownię pod chmurką, mały amfiteatr z zadaszoną sceną i pełnowymiarowe boisko piłkarskie z całkiem przyzwoitą murawą. A po drugiej stronie drogi widać nowoczesny budynek szkolny. Wkrótce dowiedzieliśmy się, że ma 100 lat z nawiązką. Nasze panie seniorki nie mogą się temu wszystkiemu nadziwić. W dodatku okolica jest prześliczna.

Pani sołtys częstuje nas herbatą i pączkami. Mamy godzinkę na rozmowę. O 17,00 w wiejskiej świetlicy odbędzie się próba zespołu ludowego. – Są w nim prawie same Ireny i Eugenie – śmieje się pani sołtys, zarazem szefowa wspomnianego zespołu. A to co podziwialiście, to zasługa innych. Nie moja.

Sołtysowanie pani Eugenii

Eugenia Górko, z domu Gierasimiuk, za mężem przyszła z Fast do Studzianek. Z Arseniuszem ślub wzięła w 1977 roku. – Pamiętam, jak kobiety na przystanku PKS dopytywały: Czeja ty? Zanim wytłumaczyłam, inna kobieta pomogła. – Od Klemensów niewiasta. W naszej wsi jest wiele rodzin o tych samych nazwiskach, więc mają przydomki lub przezwiska. Dziadek mojego Arseniusza miał na imię Klemens, więc to Górkowie – Klemensowie – tłumaczy. – Mąż zmarł w ubiegłym roku. Nieraz wypominał: Weź łóżko i przenieś do świetlicy. I tak tam jesteś całymi dniami. A jak mogłam inaczej? Nie można w pięć minut zrobić dożynek gminnych albo Wigilię na 120 osób, czy

inne święto... Sołtysem jest już piątą kadencję. – W Studziankach są dwa sołectwa – wyjaśnia. – Wieś jest duża, ponad 1500 mieszkańców. I ponad 50 ulic – dodaje z dumą. Kilka razy w roku sołtys musi zajrzeć do każdego gospodarstwa i domu. A to przy zbieraniu podatków, a to z różnymi prośbami do władz, w których podpisy mieszkańców są potrzebne, a to... Jest i plus z tego chodzenia. Nikt nie zna tak dobrze mieszkańców Studzianek, ich radości i smutków, jak właśnie sołtys. Mam to wszystko zanotowane w sołtysowym zeszycie – dodaje. Warto wspomnieć, że we wsi zdarzyły się w przeszłości pożary. Należało wówczas natychmiast organizować pogorzelcom jakąkolwiek pomoc. Ludzie w Studziankach są pomocni. Ci, co od lat są tutaj zasiedziali. I ci nowi.

– Jestem sołtysem tradycyjnym – ocenia Eugenia Górko. – Lubię wszystkie sprawy załatwiać grzecznie, spokojnie. Może ze dwa razy zdarzyło się walnąć pięścią w stół. Wolę jednak spokój. W urzędzie wtedy wysłuchają, doradzą, pomogą prawidłowo napisać pisma, albo pokierować do właściwego urzędnika. Wszyscy mnie tam już dobrze znają. W końcu to piąta kadencja mojego sołtysowania – tłumaczy.

Małe i wielkie sukcesy

Co udało się przez ten czas zrobić? Ano jest w Studziankach nowa droga z porządnym asfaltem. Jest zrobiona kanalizacja, a wodociąg podciągnięty do każdego gospodarstwa. Z dumą rozgląda się po wnętrzu wiejskiej świetlicy. – To zasługa Mirosławy Bezdziel, nauczycielki z naszej szkoły – tłumaczy. – Napisała projekt, zdobyła pieniądze z Funduszu Odnowy Wsi. I wzięła na siebie ciężki obowiązek na całe pięć lat dopilnowania właściwego korzystania z wyremontowanej wiejskiej świetlicy. Jest tutaj miejsce nie tylko na próby zespołu ludowego. Na pięterku ma harcówkę drużyna ZHP. Spotykają się tutaj panie z Koła Gospodyń Wiejskich. No i nasz zespół ludowy, który założyła Maria Piotrowska. Potem kierowały nim: Mirosława Bezdziel i Nina Żukowska. Nie wspomniała jednak, że teraz to ona kieruje. – Jest nas teraz piętnaście. Stroje same kupowałyśmy, ale te pierwsze stroje ufundował nam burmistrz Antoni Pełkowski – tłumaczy. – Kiedyś za udział w dożynkach prezydenckich w Spale dostałyśmy 1000 złotych. Zamówiłyśmy więc bluzki i spódnice. Do zakupu dołożyli właściele restauracji w podbiałostockich Ignatkach. Jakoś tak się dzieje, że zawsze znajdują się ludzie chętni do pomocy – dodaje. Nagle zmienia temat i dopytuje nas. – Byliście przy naszej wiacie? – Kiwamy głową na potwierdzenie. – Czysto tam chociaż? Znowu potakujemy kiwnięciem. – Na początku śmiecili tam bardzo. Chodziłam, sprzątałam, worki na śmiecie zostawiałam. Chyba ludzie zlitowali się wreszcie nade mną – śmieje się pani sołtys. Dobrze zna historię Studzianek, cho-

ciaż ona nie stąd. Bo sołtys musi o swojej wsi wiedzieć wszystko. Ale po historię odsyła nas do Mirosławy Bezdziel. – To nasz studziankowski podręcznik do historii – tłumaczy.

We wsi od dawna istnieje Koło Gospodyń Wiejskich, którego szefową jest... a jakżeby inaczej pani Eugenia. – Wciąż wygrywamy w konkursach kulinarnych – chwali się. – I to w dwóch kategoriach: produktu tradycyjnego i innych. Kiedyś dostałam kilka nagród, jedną po drugiej. Już chciałam zejść ze sceny, a prowadzący zajrzał w swoją ściągawkę i zawołał: Niech pani jeszcze nie schodzi – śmieje się pani sołtys. – Bez pomocy naszych kobiet nie byłoby żadnej nagrody – mówi, rozdzielając zasługi na innych. – Dostaliśmy wówczas w nagrodę trzy porządne patelnie. Przydały się w świetlicy. I to bardzo. Co roku urządzamy w Studziankach wiejską Wigilię. Przycho-dzą katolicy i prawosławni. Zawsze ponad sto osób. Nieraz władze gminy proszą nasze Koło Gospodyń Wiejskich, abyśmy uszykowały im potrawy na Wigilię samorządową. Obiecują, że zakupią wszystkie produkty, a za robocizną zapłacą gotówką. Tłumaczę im, że lepiej będzie jak zakupią więcej mąki, cukru, jaj... No i tak robią. Dwie strony mają korzyść – śmieje się pani Eugenia. Po chwili zmienia temat. – Jakoś tak się złożyło, że wciąż nie mogę doczekać się wnuków. Chciałoby się bardzo. Ale jakoś sobie z tym radzę – tłumaczy. – Wszystkie dzieciaki we wsi to moje wnuki. Tak je nazywam. I one wiedzą o tym, nazywając mnie swoją babcią. Zawsze w torebce mam garść dobrych cukierków. Kiedyś zajrzałam do szkoły. Któryś dzieciak mnie dostrzegł, podbiegł i zapytał: Babciu, masz cukierki w torebce? Na szczęście miałam 30 lizaków. Obdzieliłam nimi całą gromadkę. Ech, te moje wiejskie wnuki. Super dzieciaki – mówi nieco wzruszona. I spogląda na zegarek. W sąsiednim pomieszczeniu słyszać chóralny śpiew. Instruktor akompaniuje, przygrywając na akordeonie. Pani Eugenia też śpiewa w chórze. Jest przecież jego szefową. Czas więc kończyć naszą rozmowę z kobietą, która zachowuje się jak trzeba w każdym momencie – przecież nas pięknie ugościła. I dowiedzieliśmy się, że to właściwa kobieta do naszej książki.

Jednak pani Eugenia Górko jeszcze na chwilę przysiadła z nami. – Muszę wam to powiedzieć. Zapewne widzieliście krzyże przy wjeździe do Studzianek. Stoją obok siebie: katolicki i prawosławny. Przed remontem drogi – tłumaczy – ten katolicki stał na małej wysepce pośrodku drogi. Wystarałam się, aby został przeniesiony. Stoją więc te krzyże dwóch wyznań razem – jak i ludzie w naszej wsi. Bo tutaj przecież od wieków tak mieszkamy: prawosławni i katolicy. I cieszę się, że z tymi krzyżami tak mnie się udało – mówi, znowu spoglądając na zegarek. W sąsiedniej salce trwa przecież próba chóru...

Bohaterska i nieszczęśliwa pani kapitan

Grób znajduje się na białostockim cmentarzu św. Rocha: HERMANOWSCY / KAZIMIERZ KPT WP / ŻYŁ LAT 52, ZM. 1949 R. / HELENA KPT AK / ŻYŁA LAT 49, ZM. 1953 R. / MARIA / ŻYŁA LAT 23, ZM. 1954 R. / POKÓJ ICH DUSZOM. Do niedawna był po części zniszczony i całkiem zapomniany. Nie ma już grobu Hermanowskich. Na szczęście rodzina, która wykupiła to miejsce i postawiła nowy grób zachowała starą nagrobkową inskrypcję.

Helena Hermanowska, z domu Marciszewska, urodziła się 24 grudnia 1904 roku w Białymstoku. Jej rodzicami byli Julian i Józefa z domu Drożdżewicz. Była jedną z pierwszych dziewcząt należących do tworzącego się wówczas skautingu.

Dom rodzinny i harcerstwo ukształtowały jej osobowość. W Polsce niepodległej poświęciła się pracy nauczycielskiej. Od 1928 roku pełniła także funkcję hufcowej Hufca ZHP Białystok. W 1931 roku została mianowana Komendantką Komendy Okręgowej Harcererek w Białymstoku. W 1939 roku zorganizowała służbę harcerską współpracującą z wojskiem i władzami cywilnymi na obszarze całej Chorągwi ZHP. Jej mąż Kazimierz brał udział w wojnie obronnej. Po klęsce wrześniowej powrócił do Białegostoku. W 1941 roku został aresztowany przez NKWD. Jednak uciekł z transportu zdążającego do Kazachstanu i dotarł do Białegostoku. Natychmiast przystąpił do konspiracji w szeregach ZWZ – AK. Po wejściu Sowietów do Białegostoku Helena nie opuściła miasta. Pozostała, wraz z przybraną córką Marią w swym mieszkaniu przy ulicy Stołecznej 80. Już jesienią włączyła się w nurt powstającej konspiracji. Miała przecież duże doświadczenie organizacyjne i listę druhen i druhow, na których można było polegać. Zajął się organizacją Wojskowej Służby Kobiet Okręgu Białostockiego ZWZ – AK. W jej szeregach znalazło się prawie 3000 sanitariuszek, kurierek i szyfrantek. Helena Hermanowska ps. Zaczyn została Komendantką WSK. Funkcję pełniła do końca niemieckiej



okupacji na Białostocczyźnie. Należała także do Tajnej Organizacji Nauczycielskiej. Przełożeni wysoko oceniali jej służbę. Została awansowana do stopnia kapitana czasu wojny, a także uhonorowana krzyżem Virtuti Militari oraz Krzyżem Walecznych z Mieczami. Latem 1943 roku otrzymała poufną informację o grożącym aresztowaniu. Helenie pomógł ukryć się w bezpiecznym miejscu na terenie swojego Obwodu ppor. Stanisław Gryko. Wkrótce Gestapo dokonało rewizji w mieszkaniu Hermanowskich. Aresztowali wówczas Marysię, przybraną córkę Heleny i Wacława. Dziewczyna nie ujawniła miejsca pobytu Heleny. W dodatku udało się jej uciec, co uchroniło przed okrutnym przesłuchaniem, a może śmiercią. Wojnę przeżyła.

Działalność w Wojskowej Służbie Kobiet

Przez ponad rok Helena Hermanowska ps. „Zaczyn” działała w całkowitej konspiracji... Nie ujawniła się po ponowym wejściu Armii Czerwonej na nasze ziemie. Nadal, chociaż w zmienionych warunkach, kierowała Wojskową Służbą Kobiet. Odtworzyła łączność ze wszystkimi Referatami Obwodowymi WSK. Zaktywizowała współpracę z oddziałami partyzanckimi działającymi w terenie. Organizowała pomoc sanitarną, kwaterunkową i gospodarczą. Ale nie tylko. Jej podkomendne były szkolone do zwalczania szerzącej się spekulacji, alkoholizmu i przeciwdziałania komunistycznej propagandzie. Kobiety z WSK zbierały płótno na partyzancką bieliznę, żywność, itp. Komendantka starała się też opanować trudną sytuację w służbie łączności.

Kapitan Helena Hermanowska brała udział w akcji organizowania zbiorowych dezercji z armii Berlinga, zgodnie z Rozkazem Komendy Okręgu Białostockiego Nr 575 z 10 października 1944 roku, którego fragment wskazywał ją jako osobę odpowiedzialną za podjęcie odpowiednich działań: „Pomoc dla żołnierzy AK, uciekinierów z terenów Wileńskiego, Nowogródzkiego, Grodzieńskiego i żołnierzy AK uciekinierów z wojska Berlinga organizować przy pomocy WSK, a koszta pokrywać z kredytów przydzielonych na ten cel w swoim czasie. Całość akcji pomocy dla żołnierzy AK przyjmuje Szefowa WSK, ob. Zaczyn, która będzie organizować akcję zaopatrzenia w porozumieniu z Inspektorami i Komendantami Obwodów. Ustne wytyczne wydał ob. Zaczyn w dniu 8 X 44 roku. Tymczasem 5 grudnia 1944 roku kapitan Hermanowska została aresztowana przez NKWD. Mimo docierających do niej sygnałów o planach jej zatrzymania nie przerwała swych działań. Podczas przesłuchania została ciężko pobita, w wyniku czego powstały trwałe uszkodzenia narządów ciała. Uszkodzono jej wątrobę, połamano miednicę, zmiażdżono kość łonową. Mimo tortur nikogo nie wydała. Została więc w trybie doraźnym osądzona i wywieziona 1 lutego 1945 roku do obozu

w Stalinogorsku. Do Polski powróciła w 1947 roku. W styczniu 1948 roku podjęła pracę w Zasadniczej Szkole Odzieżowej w Białymstoku. Zmarła 23 października 1953 roku. Miała 49 lat. Spoczęła obok swojego zmarłego 1950 roku męża Kazimierza. Wkrótce śmierć dosięgła ich przybraną córkę Marysię. Zaledwie 23 – letnia dziewczyna zmarła w 1954 roku.

Źródło: Archiwum płk. Czesława Hake ps. Filip

Filantropka z Krzyżewa

Wyprzedzała swoją epokę. Jej dokonania do dzisiaj wzbudzają uznanie, ale tylko w lokalnym środowisku. Tym bardziej warto o niej napisać.

Stefania Karpowicz urodziła się w Wilnie, ale prawie całe swoje życie spędziła na Podlasiu. Poznała ówczesny wielki świat, a także wielkich ludzi tamtej epoki. Mogła obracać się w tych kręgach. Była przecież bardzo bogatą, zdolną, wszechstronnie uzdolnioną i wykształconą kobietą. Wybrała małą wieś na Podlasiu. Zbudowała w Krzyżewie nowoczesną szkołę dla dzieci wiejskich. I tutaj zamieszkała.



Urodziła się w 1876 roku. Jej rodzicami byli Michał Karpowicz i Bronisława z Jasiewiczów. Stefania miała dwie siostry: Jadwigę i Felicję. Jej dwaj bracia zmarli we wczesnym dzieciństwie. Ta zamożna rodzina posiadała w Wilnie dużą parcelę wraz z kamienicą, a także majątek ziemski w Janowiczach oraz folwark Widziki. Właśnie we wspomnianych Janowiczach Stefania spędziła swoje dzieciństwo. Murowany dwór był okazały, a ziemie dobrze zagospodarowane. Stefania lubiła kontakty i dziecięce zabawy z córkami włościan. Nieraz, tak jak one, chodziła boso. Rodzice tego nie zabraniali. Matka dbała, aby córka poznawała domowe obowiązki oraz uczyła się prac w obojętności i ogrodzie. Nauczyła ją także właściwości leczniczych różnych ziół.

Córka była zdolna i utalentowana artystycznie. Nie szczędzili więc pieniędzy na jej edukację. Nie cierpiała nauki pamięciowej, lecz wolała lekcje poznawcze. Bardzo szybko opanowała język francuski. Potem dziewczyna wyjechała na naukę do renomowanej pensji Jadwigi Sikorskiej w Warszawie. Tam zaprzyjaźniła się z Marią Skłodowską, późniejszą laureatką nagrody Nobla... W Warszawie poznała Stefana Żeromskiego, Stanisława Reymonta, Tadeusza Przerwę – Tetmajera. Stefania miała zaledwie kilkanaście lat, gdy nagle zmarł jej ojciec Michał Karpowicz. Zgodnie z jego zaleceniem, kontynuowała naukę w Warszawie w średniej szkole państwowej. Uczestniczyła także w tajnych wykładach Uniwersytetu Latającego. W Warszawie też zainteresowała się malarstwem. Chodziła więc na kursy do Wojciecha Gersona. Na studia wybrała się do Krakowa, ale tylko jako wolna słuchaczka. Kobiety w tamtych czasach nie miały prawa nauki na wyższych uczelniach. Dopiero po roku mogły przystąpić do egzaminów i stać się pełnoprawnymi studentkami. Z pięciu wolnych słuchaczek wytrwała tylko Stefania. W Krakowie zapisała się na kursy rzeźbiarstwa, a następnie zapisała się do pracowni malarskiej Włodzimierza Tetmajera. Jej prace były oceniane bardzo wysoko. Otwierała się przed nią kariera artystyczna. Studiów malarskim poświęciła aż sześć lat, zdobywając malarskie umiejętności także w Monachium i Paryżu. Chwalił młodą malarkę Julian Fałat w liście do jej matki. Córka znalazła ten list dopiero po śmierci Bronisławy Karpowicz. W Paryżu poznała Zygmunta Małkowskiego, który namówił ją do powrotu w ojczyste strony i poświęceniu działalności społecznej na wsi. Zarzuciła więc malarstwo i powróciła w ojczyste strony.

Malarka innego rodzaju

„Chcę stać się malarką innego rodzaju. Taką, która by choć odrobinę przemaluje własny kraj na jaśniejsze barwy” – napisała w kronice szkoły. Namówiła więc matkę, by ta sprzedała Janowicze. W 1903 roku Bronisława Karpowicz kupiła majątek w Krzyżewie: 400 ha gruntów, lasów i niewielki

dworek. Miał być posagiem córki. Już wkrótce Stefania zorganizowała tajne nauczanie dla dzieci miejscowych gospodarzy: włościan i drobnej szlachty. Panie założyły także wiejską ochronkę. I zabrały się do porządków gospodarskich. Obmyśliły meliorację gruntów, założyły sad, rozwinęły hodowlę bydła, wprowadziły nowe gatunki zasiewów zbóż. Zbudowały dobrze urządzone czworaki. Stefania szybko zyskała uznanie w opinii lokalnej społeczności, skutecznie lecząc ziołami różne schorzenia. Do legendy przeszły jej zmagania z dziecięcymi „kołtunami”, które „leczyła” nożyczkami, mydłem i wodą. Została też członkiem Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, które zawiązało się w pobliskich Łapach. Poznała wówczas Stanisława Łapińskiego, który wkrótce stał się jednym z bohaterów polskiego czynu niepodległościowego. Przyjaźniła się też z Zygmuntem Glogerem z Jeżewa, który zyskał sławę swoimi badaniami etnograficznymi. W takim to środowisku dojrzewała myśl o założeniu szkoły rolniczej w Krzyżewie...

Szkoła na wzór zachodni...

Pieniądzy na realizację pomysłu nie brakowało, ale chciały je wydać nie marnując ani rubla. Dlatego w poszukiwaniu modelu wybrały się do Szwecji i Danii. „I tam byłam w szkołach, wszystko oglądałam, chodziłam nawet na lekcje rachunków. No i podziwiałam uczciwość tamtych ludzi, bo był tam taki zwyczaj, że każdego dnia mleko stało na szosie, jechał wóz, zabierał to mleko do mleczarni, a pod koniec miesiąca w niezamkniętych konewkach były pieniądze za mleko. I nigdy nie zginęły” – pisała Stefania w kronice szkoły. I pragnęła, aby tak było na naszej ziemi.

Ich podróż trwała dwa lata, ale wreszcie miały wizję szkoły. Budynek w Krzyżewie powstał w błyskawicznym tempie. Prace rozpoczęły się wiosną 1911 roku, a jesienią następnego był gotowy. Bronisława Karpowicz nie doczekała inauguracji, gdyż zmarła w styczniu 1912 roku.

Stefania sama przejęła wszystkie obowiązki. Nie żałowała pieniędzy na wymarzoną placówkę, ale też potrafiła osobiście nadzorować wiele prac. Jak pisała w pamiętniku: „Gmach i zabudowania gospodarskie pochłonęły 3.300 rubli w złocie. Oprócz czego dałam z lasu drzewa na stodołę i stajnię z oborą i chlewnią”. Urządziła podróż po regionie, zachęcając młodych mężczyzn do zapisania się na kursy rolnicze w Krzyżewie.

15 stycznia 1913 roku szkoła rozpoczęła swoją działalność. Na pierwszy kurs, jak wtedy określano, przyjechało 34 mężczyzn w wieku 19-30 lat. Mieli uczyć się ogrodnictwa, sadownictwa, pszczelarstwa, miernictwa gruntów oraz przedmiotów ogólnych: języka polskiego, historii i geografii. W Krzyżewie pojawiły się rolnicze nowinki techniczne, min. młockarnia i... traktor. Na kursach dominowały zajęcia praktyczne. Organizowano też wycieczki

do wzorcowych gospodarstw w innych regionach kraju. Stefania Karpowicz uczyła podstaw sadownictwa i ogrodnictwa, a także podjęła się dodatkowej nauki języka francuskiego. Uczyła zasad zachowania się przy stole, w towarzystwie i... tańcu. Należy dodać, że w szkole Krzyżewie, jako prywatnej, nauka mogła odbywać się w języku polskim.

Na pytanie, dlaczego szkołę założyła w Krzyżewie, z dala od szos i kolei, Stefania odpowiadała: „Nie był to mój błąd, ale po to, żeby można było uczyć w języku polskim. Szkoła była prywatna, ja musiałam co roku płacić koncesję 5 tysięcy rubli w czterech ratach. Ile razy zaciągałam pożyczki na owe raty! To nic. Za to moi chłopcy dobrze wiedzieli, kim byli: Chrobry, Kościuszko, Traugutt... I o Ściegiennym nie bałam się im opowiadać”.

A szkoła prezentowała się okazale. Murowana, piętrowa, w stylu willi szwajcarskiej. Ze światłem elektrycznym, centralnym ogrzewaniem, wodociągiem (napędzanym konnym kieratem)”.

– W regionie, gdzie większość stanowiły domy kryte strzechą, wyróżniała się pod każdym względem. To była wielka nowoczesność – podkreśla Jacek Tomkiel, wicedyrektor Zespołu Szkół Rolniczych w Krzyżewie, który od wielu lat gromadzi materiały biograficzne o Stefanii Karpowicz. – Był tutaj internat dla uczniów, mieszkania dla nauczycieli, łaźnia, szpitalik. A także kompleks gospodarczy do praktycznej nauki rolnictwa: sad, pola uprawne i pólka doświadczalne z różnymi odmianami roślin uprawnych i do testowania nawozów. Były również warsztaty: stolarski, stelmarski, koszykarski. Potem zbudowano mleczarnię, gdzie wyrabiano masło i sery, które wysyłano do Warszawy, Gdyni, a nawet eksportowano do Anglii. We wsi funkcjonowała straż ogniowa, prowadzono kursy przeszkolenia przeciwpożarowego. To wszystko były z inicjatywy pani Stefanii – dodaje Jacek Tomkiel. – Przez te wszystkie lata, jak rozmawiałem z ludźmi, to nie usłyszałem o niej żadnej złej opinii. Tylko same dobre rzeczy. Owszem opowiadano o jej pewnej naiwności, gdyż ufała każdemu człowiekowi, ale zawsze pozytywnie, z wielkim szacunkiem.

Dziedziczka, która kochała ludzi

Starsi mieszkańcy Krzyżewa pamiętają, że pani Stefania znała się na ziołach, lekarstwach i starała się leczyć miejscowe dzieci. Mówią o jej życzliwości wobec innych ludzi. Zapamiętano ją jako niewysoką kobietę zawsze ubraną w długą, czarną suknię, w czarnym kapeluszu, z nieodłączną laską, idącą po wsi, by służyć pomocą i rozmawiać z ludźmi.

W szkolnym archiwum zachowała się ciekawa relacja: Marianna Kosińska była pokojówką u Stefanii Karpowicz: „Kiedy zaproponowano pracę, to obawiałam się, czy sobie poradzę? Pani Stefania mnie pocieszyła, tłumacząc, że

wszystkiego nauczy – Pokazała, jak mam obsługiwać gości. Najpierw sama podawała do stołu i mówiła: Proszę stawiać talerz płaski, a na nim głęboki, z prawej strony łyżkę, nóż z lewej, na chusteczce. Podawać potrawy należy z prawej strony, żeby kogoś nie oblać. Odbierać talerze z lewej. Jak się kończył rok szkolny, do Krzyżewa przyjeżdżali ważni goście: starosta, kapitan wojskowy i ksiądz. Było dużo przygotowania. Szybko nauczyłam się przyjmowania gości i obsługiwania stołu, z czego pani Karpowicz była bardzo zadowolona. Za to mi dała 10 zł. Miała ona siostrę w Wilnie, siostrzenicę w Warszawie i przyjaciółkę Barbarę, która była sekretarką Piłsudskiego. Często ją w Krzyżewie odwiedzały. Rozmawiały wówczas po francusku. Pani Stefania tłumaczyła się, że to nie dlatego, by coś miała do ukrycia, ale nie chciała zapomnieć wyuczonego języka”.

Szkoła szybko zyskała opinię jednej z najlepszych w Europie. Tymczasem nadszedł rok 1920. W lipcu wojska sowieckie stały na przedpolach Warszawy. Zbliżały się również do Białegostoku. W gabinecie Stefanii Karpowicz zjawili się wówczas 41 uczniów drugiego roku kursu rolniczego. Zameldowali, że przerywają naukę, ponieważ zgłosili się do wojska. Stefania Karpowicz ich wysłuchiwała, a następnie pobłogosławiła. Od 14 lipca 1920 do 1 sierpnia 1921 roku szkoła zawiesiła swoją działalność oświatową, ale budynek nie opustoszał. Stefania Karpowicz zaprosiła do Krzyżewa liczną gromadkę białostockich dzieci, aby mogły wyzbyć się traumy po okupacji tego miasta przez bolszewików. Wiosną 1921 roku szczęśliwie powrócili z wojny wszyscy uczniowie. Stefania Karpowicz absolwentom tego wojennego rocznika, ochotnikom z 1920 roku, podarowała zegarki, jako nagrodę za odpowiedzialną postawę obywatelską i patriotyczną.

Nie damy naszej pani

W trudnych powojennych czasach Krzyżewa nie omijały kłopoty materialne. Często właściciele szkoły brakowało pieniędzy. Zaciągała wówczas kredyty i jakoś szczęście jej dopisywało. W 1926 roku Komisja Sanitarna z Białegostoku zaproponowała przekształcenie szkoły w szpital przeciwgruźliczy. Jednak ona nie zgodziła się. Szkoła musiała nadal istnieć, ku pożytkowi ogólnemu. I nadal istniała.

Nadszedł 1939 roku. Okupacja sowiecka, potem niemiecka. Szkoła została zamknięta. Stefania Karpowicz szczęśliwie nie była nękana przez okupantów. Cieszyła się tak nieposzlakowaną opinią, że nikt na nią nie doniósł do NKWD. Jako jedna z nielicznych przedstawicielek ziemiaństwa uniknęła deportacji, chociaż wysiedlono ją z krzyżewskiego dworku. We wsi do dziś pamiętają, jak to w 1940 roku Sowieci przyjechali do majątku, aby aresztować „barisznę” – obszarniczkę, co chłopów gnębiła. I wywieźć ją na Sybir.

Tymczasem zbiegli się wszyscy farnale i obronili Stefanię. Chwalili przed enkawudzystami, że to dobra pani. Tylko sowiecki komisarz nie ukrywał zdziwienia. Podczas drugiej okupacji majątkiem w Krzyżewie zarządzał niemiecki administrator.

Pozostała wdzięczna pamięć

Już w 1944 roku, tuż po przejściu frontu, Stefania Karpowicz wznowiła działalność szkoły. Z powodu braku nauczycieli sama podjęła się prowadzenia lekcji z języka polskiego i historii. Nie pozwolono jednak na powrót do krzyżewskiego dworku. Wkrótce cały jej majątek skonfiskowano, a na bazie gruntów i warsztatów szkolnych utworzono PGR. – Jak się zaczęła komuna na dobre, to ją zwolnili i ona nie mogła nawet przyjść do szkoły – wspominała dawna pokojówka. – Nie miała w ogóle tam wstępu. Często płakała wtedy, że zabrali jej najważniejsze w życiu, co miała. Nie mam po co żyć – mówiła. Stefania Karpowicz zamieszkała w pobliskich Roszkach Ziemakach, u obcych ludzi, którzy ją przygarnęli. „Mieszkanie było małe, skrzypiały deski w podłodze przy chodzeniu, z ramion wieszaka umocowanego w drzwiach zwisały ręczniki i ścierki, izby były zavalone poobijanymi meblami. Pani Stefania była grubo odziana, w czarnym czepcu na głowie, pod szyją żabot z pękiem falbanek” – czytamy w materiałach archiwalnych szkoły. W 1951 roku władze oświatowe zlikwidowały szkołę w Krzyżewie, przenosząc ją na Warmię.

Nadal o wszystkich innych się troszczyła. Leczyła ziołami, sprowadzała na własny koszt lekarzy, kupowała lekarstwa dla ubogich, dbała o higienę na wsi, pomagała dotkniętym wypadkami losowymi, przekazywała drewno na domy lub budynki gospodarskie, wyposażała nowożeńców. Zawsze potrafiła na ten cel wysupłać pieniądze ze swoich oszczędności.

W 1956 roku mieszkańcy Krzyżewa napisali petycję do władz państwowych „w obronie dobrego imienia” Stefanii Karpowicz. Odpowiedzi nie otrzymali, ale z pewnością miało to wpływ na wznowienie działalności szkoły rolniczej w Krzyżewie. Nastąpiło to w 1958 roku. I nikt już nie zabraniał wstępu na jej teren. Bywała więc tam często, doglądając rozbudowy placówki. Społeczność szkolna otoczyła założycielkę troskliwą opieką, a przede wszystkim szacunkiem. Wielkim wydarzeniem był pierwszy zjazd absolwentów tej szkoły. Wówczas to Stefanię Karpowicz wniesiono do sali szkolnej na rękach, w dodatku przy hucznej owacji na stojąco...

Żyła długo, 98 lat, chyba Pan Bóg obdarzył ją tym długim życiem w nagrodę za pracowicie przeżyte lata. Niewiele wymagała od życia luksusów, chociaż mogła sobie na nie pozwolić. Nie starała się być ciężarem dla innych. Nawet swoje odejście z tego świata przygotowała skromnie. Nie chciała

żadnych kwiatów, ani drogiej trumny. „Ja tu będę pochowana, Już mam zapłacone za pogrzeb w Płonce. Nie przy ojcu w Białymstoku, bo to kłopot. Tutaj bliżej i łatwiej” – napisała w swej ostatniej woli.

Stefania Karpowicz zmarła 7 stycznia 1974 roku. Została pochowana na cmentarzu w Płonce Kościelnej (6 km od Krzyżewa), w mogile obok siostry. Jej pogrzeb zgromadził liczną rzeszę mieszkańców Krzyżewa i okolic, a przede wszystkim absolwentów szkoły. Zabrakło wówczas przedstawicieli władz oświatowych...

Dobrze wspominana

Imieniem Stefanii Karpowicz władze samorządowe gminy Sokoły nazwały rondo na trasie Białystok – Wysokie Mazowieckie. W 2013 roku, w 100 – lecie powstania szkoły, ukazała się piękna monografia. W budynku szkolnym są eksponowane pamiątki po jej fundatorce. Na dziedzińcu stanął pamiątkowy obelisk z tablicą na której jest jej wizerunek. Beata Hyży-Czołpińska z TVP Białystok zrealizowała film o Stefanii Karpowicz. Wspomniany Jacek Tomkiel wciąż wyszukuje w archiwach państwowych lub prywatnych wszelkich informacji o tej niezwyklej kobiecie. Mogła przecież wybrać inną drogę życiową – zrobić karierę naukową albo artystyczną, obracać się w kręgach arystokratycznych. Wybrała małą wieś na Podlasiu, w której ufundowała szkołę. I ją utrzymywała. Nigdy też nie narzekała na swój los, który przecież nie szczędził licznych krzywd. Tym bardziej zasłużyła na wdzięczność i pamięć w lokalnej społeczności. Cieszyć może fakt, że jej szkoła nadal istnieje, kształci młodzież, a pamięć o Stefanii Karpowicz ma wiele wymiarów...

Życie z pasją

Pani Jadwiga Karpiuk właśnie wraca ze szkoły. Wciąż ma tam swoje sprawy do załatwienia. Łatwo ją rozpoznać bo zawsze jest elegancka. – A czym zasłużyłam, żeby o mnie pisać? Czy nie ma osób lepszych ode mnie i ciekawszych? – zapytuje z uśmiechem. I z chęcią przysiadła na ławeczce. Co chwilę „przeszkadza” któryś z przechodniów, kłaniając się emerytowanej nauczycielce. To utwierdza w przekonaniu, że dobrze wybraliśmy.

– Nie pochodzę z tych stron – zaczyna swoją opowieść pani Jadwiga. – Dzieciństwo i młodość spędziłam w Kleszczelach. Moi rodzice przybyli tam po wojnie z Kresów, w ramach tzw. repatriacji, gdy miałam kilka lat. Bardzo troszczyli się o mnie i otaczali miłością. Mój ojciec uczył mnie różnych tańców. Byłam małą dziewczynką, gdy on stawiał mnie na swoich stopach, nucąc przy tym różne melodie. I tańczyliśmy. Uważał również, że powin-

nam pobierać lekcje gry na gitarze. Wyniósł to chyba z rodzinnej, ziemiańskiej tradycji – mówi – i przez jakiś czas takie lekcje miałam. Ojciec kupował mi również różnokolorowe nici i zachęcał do nauki robótek ręcznych. Chciał też, abym koniecznie wyuczyła się jakiegoś porządnego zawodu, na przykład krawcowej.

Do przedszkola i szkoły powszechnej Jadwiga uczęszczała w Kleszczelach. Od razu polubiła naukę. Zresztą od lat dziecięcych uwielbiała zabawę w szkołę. Była też najwierniejszą czytelniczką w gminnej bibliotece. Pod koniec

podstawówki wymyśliła, że pójdzie do Liceum Kulturalno – Oświatowego w Supraślu. To była dobra szkoła, przygotowująca do pracy w placówkach kulturalnych lub w szkole, odpowiadająca jej zainteresowaniom.

– Jednak mój tata – mówi kobieta – uparł się przy szkole krawieckiej, no i trafiłam do takiej w Białymstoku. Miałam jednak wyjątkowe szczęście. Już po 2 tygodniach nauki zrobiono nam badania lekarskie. Pani doktor wykryła jakieś szmery w moim sercu i stwierdziła, że nie powinnam być krawcową, bo to ciężka praca. Ta wiadomość bardzo mnie ucieszyła. Moją kołdrę i poduszkę wysłałam pocztą, a sama pociągłem tryumfalnie wróciłam do domu. Wtedy ojciec rad nie rad zawiózł mnie do Supraśla. Tam od razu znalazłam się w swoim żywiole: były ciekawe zajęcia kulturalno-oświatowe, wieczornice, śpiew, taniec. Wyjazdy do teatru w Białymstoku i niezapomniane spacer po uroczym Supraślu. Należałam do dwóch zespołów – muzycznego i estradowego – dodaje nauczycielka. – Jednak po trzech latach naszą szkołę rozwiązano, a my uczniowie kontynuowaliśmy naukę w takiej samej szkole w Bydgoszczy. Tam też zdawałam maturę.

Na świadectwie dojrzałości nauki nie zakończyła, chociaż w tamtych czasach całkiem to wystarczało, aby znaleźć pracę w dowolnej szkole lub w świetlicy. Celem 18-letniej wtedy dziewczyny stało się zdobycie wykształcenia pedagogicznego. Tymczasem jej sytuacja rodzinna bardzo się skomplikowała. Aby ulżyć schorowanym i wiekowym rodzicom postanowiła odłożyć naukę na rok i poszukać pracy zarobkowej.



– Pierwsze pieniądze zarobiłam przy wykopkach ziemniaków u znajomych w Kleszczelach i kupiłam sobie pantofle na szpilkach. Były wtedy bardzo modne, a ja chciałam ładnie wyglądać – śmieje się pani Jadwiga. – A potem przypadek sprawił, a może słowa Cyganki, której dałam się namówić na wróżenie z kart, że zostałam zatrudniona na pół roku w Świetlicy Gromadzkiej w Narewce. Placówkę odwiedzała licznie młodzież i osoby dorosłe. Codziennie było tam gwarnie i wesoło.

Młoda instruktorka zorganizowała w świetlicy młodzieżowy zespół artystyczny. Uczyła tańców ludowych, przygotowywała inscenizacje wierszy, skeczy, a również małe formy teatralne. Sama także uczestniczyła w tym zespole. Swój dorobek ów zespół prezentował wielokrotnie w Narewce i w okolicznych wsiach. W związku z tą pracą pani Jadwiga zyskała uznanie władz oświatowych w Hajnówce. Tamte czasy z przyjemnością wspominają do dziś dawni uczestnicy tego zespołu – dziś już seniorzy.

– Od nowego roku szkolnego, zgodnie z daną sobie obietnicą – snuje opowieść – rozpoczęłam naukę w Studium Nauczycielskim w Białymstoku na kierunku historycznym. Od razu dostałam propozycję pracy w szkole w Narewce i ponownie w świetlicy. I w ten sposób potwierdziła się wróżba Cyganki..., że czeka mnie praca w domu rządowym i związę się na stałe z Narewką. Miała przygotowanie pedagogiczne do nauczania historii oraz nauczania początkowego. Niestety, historyków był komplet. – Ale historia jest wciąż moją pasją – mówi nauczycielka. – Szczególnie historia starożytna. Uczyłam wszystkich przedmiotów w klasach młodszych, a w nieco starszych miałam lekcje języka polskiego i śpiewu. No i od razu założyłam w szkole dwa zespoły – teatralny i taneczny. A gdy już zadomowiłam się w Narewce na dobre zabrałam do siebie rodziców. Mój tata wkrótce zmarł, a ociemniałą mamą opiekowałam się przez 20 lat. Kiedyś obiecałam uczniom z zespołu tanecznego, że podczas uroczystości 1-majowej zaprezentują się w strojach ludowych. W porozumieniu z kierownictwem szkoły zakupiłam więc materiały i podczas urlopu macierzyńskiego uszyłam serdaczki, bluzki, spódniczki, sukmany, koszule, pasy, czapki, krakuski i ozdobiłam je stosownymi wzorami. Szycia na własne potrzeby nauczyłam się sama i w ten sposób spełniłam częściowo życzenie mojego ojca. Dla dzieci paradowanie w nowych strojach było wielkim przeżyciem, podobnie jak role w przedstawieniu „Kopciuszek”, które wystawialiśmy w tutejszym Domu Ludowym, a które to dawni mali aktorzy wspominają i dziś z sentymentem.

Nauczycielka z powołania

Jadwiga Karpiuk doskonale pamięta swój ostatni dzień przy szkolnej tablicy. I chociaż tyle lat minęło, wciąż ma poczucie, że to było dosłownie

wczoraj. – Przez 35 lat – mówi – odmierzałam swój życiowy czas krokami do szkoły. Najpierw w tej starej, z kaflowymi piecami, ale miałam to szczęście, aby pracować również w nowym budynku szkoły. Stara, czy nowa szkoła – to był mój drugi dom. Bardzo kochałam swoją pracę i swoich uczniów. – Dzieci mnie chyba też lubiły – dodaje.

Nie musi o tym lubieniu zgadywać, bo co chwilę jakiś przechodzień z daleka wita się z panią nauczycielką. Pani Jadwiga też zna wszystkich. – Na moje imieniny przez wiele lat, przychodzili do naszego domu moi wychowankowie z klas młodszych – wspomina. – Dzieciaki siadały na krzesłach, na kanapie, na podłodze, gdzie się dało. Zawsze wiedziałam, że przyjdą do mnie mali goście, więc kupowałam cukierki, owoce, szykowałam ciasta na ich przyjęcie. Dzieci nie tylko liczyły na pyszności, ale przede wszystkim na opowiadane przez solenizantkę bajki i legendy. – Wymyślałam je na poczekaniu – objaśnia pani Jadwiga. – Jak miałam wenę..., a bohaterami tych historii byli bardzo często moi uczniowie.

Pani Jadwiga ma rękę do pisarstwa i pięknych opowieści. Przez kilka lat prowadziła więc konferansjerkę na festynach gminnych i różnych uroczystościach. Podczas ferii zimowych opowiadała dzieciom bajki w Gminnym Ośrodku Kultury i dzieciom z zerówki w szkole, chociaż już tam nie pracowała.

– W moich uczniach, jeszcze dzieciach, przede wszystkim dostrzegałam ludzi, jakimi mogą zostać, gdy dorosną – tłumaczy. – Pamiętam, jak pewien uczeń kończący naukę obiecał, że nigdy o swojej nauczycielce nie zapomni. Nie był wzorowym w nauce, ale na pewno był grzecznym i dobrym chłopakiem. Bardzo często spotykam się z dużą oznaką sympatii ze strony swoich dawnych uczniów i jest to bardzo miłe. Jeden z nich odwiedzał mnie kilkakrotnie z kwiatami, a jeszcze inny wręczył mi nie tak dawno piękną samodzielnie wykonaną szkatułkę. Znam wielu takich uczniów, którzy w podstawówce nie najlepiej radzili sobie z nauką. Z biegiem lat dojrzeli, bo dzieci jak to dzieci. Jedne szybciej otwierają się na wiedzę, inne stopniowo. Jedne są z natury bardziej grzeczne, inne mniej. Ale najważniejsze, że spotykam ich teraz na swojej drodze jako porządných, uczciwych i uczynnych ludzi.

Aktywna emerytura

35 lat pracy w szkole to szmat czasu. Trzeba wiedzieć kiedy odejść, ale i umieć odnaleźć się na emeryturze. – Odnalazłam się bez trudu – mówi nauczycielka. – Otóż wójt gminy obmyślił, że Narewka musi mieć własną, samorządową gazetę. Z chęcią zgodziłam się na jej prowadzenie. Była to gazeta „Nad Narewką”. Miałam pewne doświadczenie w tym zakresie, ponieważ przy współpracy z grupą uzdolnionych uczniów wydawałam w szkole, w latach 90. gazetkę „Echo Szkoły”.

Gazetę samorządową redagowała przez 23 lata. Pisała artykuły, reportaże. Odwiedzała ciekawych ludzi i przeprowadzała z nimi wywiady. Dokumentowała historię tutejszych zakładów pracy, placówek oświatowych i przeszłość gminy. Kontakt z gazetą „Nad Narewką” ma nadal. Píše do niej od kilku lat artykuły o tematyce historycznej i prezentuje Narewkę w starej fotografii. Uzbierało się przez te lata pokaźne archiwum dziejów Narewki i okolic.

– Naprawdę można tutaj spotkać ludzi zwykłych – niezwykłych. Wrosłam w tę społeczność: wielokulturową i wieloreligijną, ale przede wszystkim żyjącą w zgodzie i życzliwą wobec swoich i gości – reklamuje Narewkę pani Jadwiga.

Dobrze tak przysiąść na ławeczce w pogodny dzień. Tymczasem nauczycielka spogląda na zegarek. Musi jeszcze zajrzeć do biura Związku Emerytów i Rencistów. Jest przecież przewodniczącą tej organizacji od ponad 22 lat. Ileż to przez te lata wspólnie z Zarządem, zorganizowała emeryckich wycieczek i wieczorków, spotkań integracyjnych, zabaw towarzyskich.

– Niektórzy przepracowali tu całe swoje życie, nie widząc świata poza Narewką, Hajnówką lub Białymstokiem – stwierdza. – Dopiero na naszych wycieczkach poznawali wiele ciekawych zakątków kraju i pobliskiej zagranicy. Wycieczek mieliśmy w sumie bardzo dużo – ponad 50, a może i więcej. Ale na wycieczkach może zdarzyć wszystko. Np. spotkała nas pamiętna przygoda podczas rejsu barką po Niemnie w Druskiennikach. Barka, którą płynęliśmy niespodziewanie i ku przerażeniu kapitana ugrzęzła na mieliźnie. Kapitan był zupełnie bezradny, więc po krótkim wahaniu do akcji wkroczyli nasi emeryci. Panowie zrzucili spodnie, wskoczyli do wody i szybko barkę wypchnęli na głębszą wodę. Opowieści o tej przygodzie wciąż krążą wśród seniorów, chociaż było to kilkanaście lat temu.

Moje zajęcia na emeryturze są dla mnie tak samo ważne i absorbujące, jak kiedyś praca w szkole – mówi. – Zmieniły się tylko formy tych zajęć i ich adresaci. Mimo to uważam, że powinnam dać sobie „więcej wolnego czasu na emeryturze” i przewodnictwo naszego Związku Emerytów oddać w młodsze ręce, bo im jestem starsza tym bardziej mi tego czasu brakuje...

Jednak pani Jadwiga wciąż coś planuje, wymyśla, nie siedzi w domu spokojnie.

– Mamy obecnie przygotowania do spotkania z okazji Dnia Seniora – mówi – i chciałabym, aby ta impreza była jak najbardziej udana, jak najbardziej atrakcyjna, i żeby jak najlepiej zapisała się w pamięci uczestników. Ale żeby tak było muszę dołożyć starań.

Czas

Czas jak złodziej ucieka
W stumilowych butach
Nie dopędzisz go lądem
Ni powietrzem, ni wodą
Przedwczoraj byłem dzieckiem
Dzisiaj babcią jestem
A jeszcze wczoraj przecież
Byłam Panną Młodą...

Innym, czyli także sobie

– Czy ja robiłam i robię coś niezwykłego? – zastanawia się. – Cały czas robię to co lubię. W szkole prowadziłam zespół taneczny i teatralny, ale przecież od dziecka lubiłam taniec, muzykę i śpiew. Lubię również od czasu do czasu wyruszyć w nieznane, chociaż niezbyt daleko, a temu służą wycieczki emerytów. Lubię organizować seniorom spotkania towarzyskie z zabawami, konkursami i sama przy tym dobrze się bawię. Będąc redaktorem naszej gazety spełniałam się w mojej pasji pisarskiej i nadal się spełniam. Uwielbiam kontakt z ludźmi, a wszystko to, czym zajmowałam się i zajmuję jest zgodne z moim usposobieniem i zainteresowaniami.

Może i mam jakiś talent w sobie, nie wiem. Jako twórca – amator napisałam 100 zagadek i bajki dla dzieci. Mam również wydane dwa zbiorki moich wierszy „Listy do Kleszczel” i „Na swojską nutę”, ale przede wszystkim mam ukończone dobre szkoły, które świetnie mnie przygotowały do tego, czym się zajmowałam i zajmuję. Bardzo cieszę się, że miałam kiedyś mądrych i wspaniałych nauczycieli, a takimi niewątpliwie byli: dyrektor liceum w Supraślu pan Adam Kulesza i pani Zofia Pietrzak dyrektorka naszego liceum w Bydgoszczy.

Tak też o Jadwidze Karpiuk, zgodnym głosem, mówią jej dawni uczniowie. – Dzień dobry pani Jadwigo – kłania się kolejny przechodzień – uczeń. Nauczycielka odpowiada z uśmiechem. Zna ich wszystkich, z imienia i nazwiska, z ich trosk i radości. Była przecież nauczycielką z pasją – i zawsze zachowywała się jak trzeba...

Marianna Łapińska z domu Łapińska

Marianna Łapińska sołtysowała w Łapach Szolajdach przez prawie czterdzieści lat. Jest chyba jedynym na Podlasiu, a może i kraju sołtysem, którego wdzięczni mieszkańcy uhonorowali... murałem.

Teraz pani sołtys uśmiecha się ze ściany Wiejskiego Domu Kultury.

Pani Marianna to wspaniała postać

Premierem Polski mogłaby zostać

Wybrała Szołajdy – im wierna była

Przez lat czterdzieści sołectwem rządziła...

Jarosław Kulesza



Wiersz jest długi. Nic dodać, nic ująć, gdyby został zacytowany w całości. Wiejski Dom Kultury w Łapach Szołajdach to dobre miejsce, aby porozmawiać o Mariannie, czyli pani sołtys z muralu. Każdy we wsi mógłby dorzucić o niej dobre wspomnienie. I każde byłoby ciekawe. – Moja bratowa – mówi Alicja Kućmierowska – była kobietą nie do opowiedzenia. Jak moja mamusia ciężko chorowała, to Marianna rzucała wszystko i leciała do nas. Umiała pomóc ludziom w różnych chorobach, znała się też na lekach – dodaje. – Była życzliwa dla wszystkich. Zawsze u niej było ciasto do poczęstunku gości, albo swojska wędlna.

– A jaka była pracowita! – wtóruje Irena Dworakowska. – Chodziła po weselach, robiąc wyroby. Brała do pomocy kobiety z Szołajd. Dużo przy niej nauczyły się w kucharzeniu. I zarobiły nieco grosza. Stypy w Szołajdach zawsze robiła za darmo. Ani grosza nie wzięła. Tylko produkty rodziny musiały jej dostarczyć.

Kobieta uczynna

Urodziła się 6 października 1929 roku w Łapach Szołajdach w... rodzinie Łapińskich. Była drugim z sześciorga rodzeństwa. Jej matka Józefa pomogła ponad stu dzieciom przyjść na świat, gdyż była miejscową „babką”. Gdy ktoś pukał w okna domu, mówiąc – Edziowa, iść się zmiłować – wspominała pani Marianna – To zawsze znaczyło, że jakaś kobieta rodziła. No, a ja musiałam wtedy sama krowy doić.

W tym starym szlacheckim zaścianku Marianna przeżyła całe swoje życie. Miała 10 lat, gdy wybuchła wojna. Jej rodzice, jak wszyscy w okolicy, byli patriotami i gorliwymi katolikami. W gospodarstwie Łapińskich nieraz przebywali partyzanci, zaś nastoletnia Marianna była wysyłana z meldunkami partyzanckimi lub na zwiady. Tak też było i po 1944 roku, gdy stąd odeszli Niemcy, a zostali partyzanci. Przez wiele kolejnych lat czasy były niespokojne. Partyzanci często zaglądali w te nadnarwiańskie strony.

Marianna przez ponad 40 lat była sołtysem. Jej mąż Jan pracował w łapskich zakładach kolejowych. Małżeństwo Łapińskich doczekało się czworga dzieci: Jana, Bogdana, Wiesława i Małgorzaty. Kobieta zawsze potrafiła łączyć sołtysowanie i społecznikostwo z obowiązkami żony i matki. Warto dodać, że także jej ojciec był kiedyś sołtysem. Przez całe 30 lat. Kiedyś sołtys miał naprawdę wiele obowiązków. Jeszcze więcej oczekiwała od niego lokalna społeczność. A to prąd do wsi dociągnąć, a to wodociąg, a to kanalizację. Obowiązków można wypisać całą litanię. Marianna Łapińska zgodziła się zostać sołtysem. Zresztą nie mogło być inaczej, gdyż wszyscy dostrzegali w niej arcyważną cechę – umiała dogadać się z każdym: naczelnikiem gminy, komendantem milicji, sekretarzem Partii i proboszczem. Dla dobra mieszkańców Szolajd.

O Małej Ojczyźnie opowieść

Tak kiedyś opowiadała sołtys Marianna. – Do najstarszych rodów należą Łapińscy o przydomkach: Bąki, Gmery, Jaśki, Koprowiny, Wojtasy. Jednak pierwszym był Rech, który słynął z pracowitości i uporu. Z tego rodu jest też Marianna Łapińska. Z pradawnych czasów pozostały nazwy miejsc nadnarwiańskich. Potrafiła wyliczyć wszystkie. I tak naprzeciw sklepu znajduje się Pogorzel. Obok są: Konopiste, Stożysko, a nad samą rzeką Brodki. Kiedyś Narew płynęła kilkoma strumieniami, przedzielona jeziorkami. Było ich kilka. Jest miejsce zwane Ostrówkami, położone nad samą rzeką. Obok znajduje się Grądek pod Narwią, Łączka za Narwią, Jesionowiec, Kosmyczyzna, Pasieniki, Benek, Rejkowie. W kierunku szosy jest miejsce zwane Zdrojkiem. Same Szolajdy są też podzielone na dwie części. Dokładnie tam, gdzie jest skrzyżowanie dróg. Są więc Rechy, a tuż przy domu Marianny zaczy-

nają się Goruszki. Teraz nie ma już domostw, w jakich szlachta częstkowa mieszkała. Wojna zmiotła prawie wszystkie. W 1944 roku front stał tutaj kilka tygodni. Ludzie ukrywali się w stogach siana. Wielu poszło do Łap, aż do Jamiołkowskich, mieszkających blisko dzisiejszej ulicy Harcerskiej. Tam znajdowały się rowy pokopane, w których było nieco bezpieczniej. Po przejściu frontu w Szołajdach zostały tylko trzy całe domostwa. Jeden właśnie u rodziców Marianny Łapińskiej, drugi u Kazimierzów, co mieli trzeci tytuł Sułtany. Wreszcie trzeci dom ostał się w Rechach. Wszyscy więc pogorzelnicy spali w tych domach, na podłogach lub nawet w sieni. Jeszcze po wojnie mieszkali w zaścianku prawie sami Łapińscy. Z „obcych” byli tylko Kasjańscy, Zdrodowscy, Łazareccy... Wszyscy przyszli tu za swoimi żonami. Bo w Szołajdach przecież same ładne dziewczyny. A te rodziny też od dawna są nasze – szołajdowskie – kończyła opowieść pani sołtys.

Każdy tutaj zna swą przeszłość na wiele pokoleń wstecz. Każdy ma imię, nazwisko i trzeci tytuł. Wtedy ten jest szlachcicem. I z włościanami przez wieki nie trzymano, ślubów nie brano. I na mieszczan z Suraża też patrzono bokiem. A najtrudniej było, kiedy kawaler z Suraża którejś się spodobał. Wtedy przy ślubie to i Matka Boska płakała, i wszyscy anieli... Jeszcze niedawno mówiono w Szołajdach, że „Lepiej wypić wina szklanekę, jak poślubić Surażankę...”. Kiedyś dwie panny podkochiwały się w Antonim Łapińskim. Obydwie Szołajdzianki. Wybrał tylko jedną, bo inaczej nie mógł. Ta przegrała w rozpacz pokochała kawalera z Suraża. I co? Ano dobrze ułożyła swoje życie. I od tego czasu łaskawym okiem patrzą panny na kawalerów zza Narwi, kierując się tylko sercem. Takich to opowieści pani Marianny można było słuchać godzinami...

Dom kultury Marianna wygrała...

Najpierw sołtys Marianna Łapińska wygrała w ogólnopolskim konkursie „Wieś gospodarna”. Nie sama, bo z czterdziestoma kobietami z miejscowego Koła Gospodyń Wiejskich. Kobiety, za namową sołtys Marianny, kominy na biało w domach wymalowały, przy płótkach zieleni ogarnęły, kwiatki na rabatkach zasadziły. I całe pięćdziesiąt tysięcy złotych wygrały. Wówczas pani sołtys wymyśliła Dom Kultury zbudować, chociaż te pięćdziesiąt tysięcy to tyle co kot napłakał. – Co ty, to i my – powiedziały kobiety. Musi być Dom Kultury: na zabawy, ping-ponga, wesela, chrzciny i stypy. Potrzebny i już. Sołtysowej w gminie powiedzieli, że to za mało, bo na to trzeba ponad dwieście tysięcy. A to były czasy, kiedy rolnikom pod budowę Cukrowni zabierano ziemię. Szołajdzianie potracili swoje borki, takie nieużyteczne, piaszczyste. Dostali za to pieniądze. Dołożył ze swego Stanisław Tomaszewski, chociaż nie był z Szołajd, lecz pobliskich Łynek, gdzie był sołtysem. Weź-

cie i moje – powiedział. – A w zamian moim z łynek dacie czasem salę na wesela. Tak zebrali połowę, dokładając drugą obiecaną własną robocizną. Dużo pomogła pani Hela z gminy. Dom Kultury zbudowali tam, gdzie był plac z parcelacji z 1922 roku, kiedyś szykowany pod budowę szkoły. W pobliżu znajdowała się ziemia gospodarzy z Dębowiny. Mieli tam swoje miejsca do kopcowania kartofli. Do budowy Domu Kultury ze wspomnianej Dębowiny prąd podciągnięto, od Młynarczukowej. Tylko podpis Przewodniczącego Gartycha był jeszcze potrzebny. Pojechała więc sołtys Marianna rowerem do władz gminnych. W jeden dzień wszystko załatwiła. Najbardziej sołtysowej, jak sama wspominała, w budowie pomagał Henryk Łapiński, chociaż sam swoich spraw miał zawsze dość. I wszyscy mieszkańcy przyłożyli się do pracy...

Pozostawiła po sobie trzy pomniki. Pierwszy już został opisany. Warto jednak dodać, że to właśnie Wiejski Dom Kultury zespolił ze sobą dwie społeczności: Szołajd i Dębowiny. – Chociaż budynek stoi na gruntach Szołajd – tłumaczy Edyta Łapińska – to nasza Marianna spogląda z serdecznym uśmiechem w stronę Dębowiny.

Drugim pomnikiem są trzy żelazne krzyże postawione w miejsce starych, drewnianych i zmurszałych, upamiętniających ofiary epidemii cholery. Warto dodać, że stanęły one wówczas, gdy władza niechętnym okiem spoglądała właśnie na krzyże. Ale co tam – Marianna i tak je postawiła.

Trzeci – jej dobroć i uczynność zachowana w ludzkiej pamięci. Zawsze była gotowa służyć innym ludziom.

Pani Edyta Łapińska dodaje jeszcze jeden mariannowej pomnik – jej przepisy kulinarne. Wyszkoliła przecież pokaźną gromadkę dobrych kucharek. Pieką, gotują, pichcą tak, jak sołtys Marianna nauczyła.

Zmarła 28 sierpnia 2014 roku. Ale najpierw wylądował koło Szołajd helikopter i zabrał kobietę do szpitala w Białymstoku. Żartowała wówczas, że przed śmiercią, która coraz bardziej zbliżała się do jej domu, chcieli ją wywieźć. Nie bała się śmierci, bo życie przeżyła w zgodzie z Bogiem i ludźmi.

Wdzięczni mieszkańcy zamówili u plastyka Arkadiusza Andrejkowa mural. Zdobi on ścianę Wiejskiego Domu Kultury, który kiedyś stanął tutaj staraniem Marianny Łapińskiej. Trzeba przyznać, że niezwykle to wyraz szacunku i pamięci...

O Mariannie Łapińskiej opowiedziały: Irena Dworakowska, Edyta Łapińska, Alicja Kućmierowska oraz Krystyna Litwińczuk

Cierpiące kobiety z Wit...

W sierpniu 1952 roku w Łapach Witach samobójstwo popełnił sierżant Lucjan Niemyjski ps. Krakus. Wieś została otoczona przez wojsko. Nastąpiły liczne aresztowania, a następnie wieloletnie wyroki więzienia.

Wówczas to Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa w Wysokiem Mazowieckiem otrzymał informację, że w Łapach Witach przebywa poszukiwany sierżant Lucjan Niemyjski ps. Krakus, członek oddziału podziemia niepodległościowego, dowodzonego przez kapitana Kazimierza Kamieńskiego ps. Huzar.

Opowieść syna...

– Moja mama, Eugenia Łapińska, z domu Łapińska, urodziła się w 1930 roku – mówi jej syn Stanisław. – Ojciec Józef był od mamy o cztery lata starszy. Rodzice ślub wzięli w kwietniu 1952 roku. Już w sierpniu oboje zostali aresztowani. Wiele razy mama opowiadała o Krakusie. I dniu, kiedy odebrał sobie życie. Całe Wity były otoczone przez wojsko, także gospodarstwo moich dziadków. Ubecy wysłali babcię, aby przekazała Krakusowi, że ma się poddać. On zaś poprosił o białą koszulę i przybory do golenia. Potem popełnił samobójstwo. Mamę trzymali w więzieniu do grudnia 1952 roku. W marcu następnego roku na świat przyszła moja najstarsza siostra



Irena. Tak więc mama podczas pobytu w więzieniu była już w zaawansowanej ciąży. I ubecy doskonale o tym wiedzieli – dodaje syn. – Ojca trzymali w więzieniu do 1956 roku. Nielekko więc było mamie. W więzieniu byli także: mój dziadek i brat mamy. Wszyscy za Krakusa. Pamiętam, jeszcze z mojego dzieciństwa, rodzinne opowieści o partyzantach w Witach i czasach więziennych. Moja mama nie bała się o tym opowiadać. Mówiła o torturach i męczonych koleżankach z celi. One przez cały dzień mogły tylko siedzieć albo stać. Nie miały prawa położyć się na pryczy. Mama była w ciąży, mogła w dzień poleżeć. Taki miała przywilej. Wychowała się w rodzinie patriotycznej i religijnej. Pobyt w więzieniu tylko te cechy pogłębił. Była bardzo pracowita

– mówi Stanisław. – Mieliśmy pole niedaleko cmentarza łapskiego. W największy upał szła tam do pielenia. Ludzie się dziwili, a ona nie zważała na słońce, bo pole trzeba było opielić. W każdą niedzielę i święta była na mszy w kościele. Nieważna była pogoda. Przecież z Wit do kościoła w Łapach nie tak daleko. Z różańcem nie rozstawiała się. We mnie i całej rodzinie, zaszczepiła pamięć o Krakusie. Wiele razy prosiła, abym dbał o pomnik Krakusa, który stoi niedaleko naszego domu. Mam tam zapalać znicze i sadzić kwiaty. To był jej testament, który wypełniam. Wcześniej sama o to dbała. Teraz ja tego pilnuję – dodaje pan Stanisław.

Świadek historii...

Z archiwum Mariana Olechnowicza: Kiedyś Krakusa wzięli ci z UB – w 2005 roku wspominała pani Eugenia: Bili, torturowali i, jak drzewo, do celi wrzucali. Drugi raz, powiedział Lucek, żywy wziąć się nie dam. I się zabiję. No i tak zrobił. Na chlewach u nas siedział, a we wsi przez trzy dni wojsko stało. Ludzie myśleli, że nikt nie wyda, bo tyle razy partyzanci we wsi byli. Był taki wozak. Raczek się nazywał, co do Strumianki węgiel woził. Zawiózł też partyzantów. Zamiast wysadzić ich po drodze, zawiózł na podwórze. W tym czasie partyzant Buczek szedł do nich. I go ubowcy zabili, a partyzantów aresztowali. Ci przyznali, że przywiozł ich Raczek z Wit. Od tego się zaczęło. Przyjechali po Raczka i trzy dni bili. Nie wytrzymał i powiedział, że u nas na chlewach bywa Krakus. Do mojego męża przyszedł taki i zapytał: Dlaczego pan nie powiedział? Tak by nie siedział. Aresztowali wtedy Kowalewicz i Tadka Perkowskiego. Wszystkich powieźli do Mazowiecka. Nie mieli kajdanków, tylko paskami ich powiązali. Żołnierz z warty się uspał. Mój mąż myślał o ucieczce, ale nie wiedział, gdzie potem pójść. Karabin maszynowy nastavili na nasz dom i oborę. Wołali: Krakus poddaj się. A nam kazali bydlę wypędzić z obory, bo chcieli ją podpalić. Jak ja szłam wypuszczać krowy, to Krakus zszedł z chlewa. Piszą, że jego dziobali przez słomę bagnetami – ale to nieprawda. Krakus najpierw spalił dokumenty. Potem wyszedł. Ja wypędziłam krowy, zatrzymałam się pod figurką. I w tym czasie w siebie strzelił. Słyszałam strzał, ale wojsko zaraz mnie zabrało. Zaprowadzili mnie do Perkowskiego. Nas trzymali do trzeciej, a potem jeszcze wzięli dużo ludzi z Warsztatów. Krakusa wynieśli do figurki. Siostra moja szła do pracy i mówiła, że tam leżał. Trzymali tego Krakusa, aż potem razem z nami na łązika wrzucili. Leżał tuż obok mnie. My byliśmy w pierwszej turze aresztowanych, a potem była druga: mego brata i ojca mego... Wszystkich powieźli do Mazowiecka. Ja byłam w piątym miesiącu ciąży. Był taki Skoczek, adwokat z Warszawy. Powiedział, że dostanę nie więcej niż rok. 22 sierpnia mnie aresztowali, a 17 grudnia wyszłam na wolność. Mąż siedział niecałe cztery

lata. Jak wróciłam z więzienia dom był pusty, ściany odrapane, myszy wszędzie grasowały. I tak szczęście, że narodzony dzieciak nie jest kaleką. W celi, w dwa tygodnie, takie wszy się załęgły, że z głowy się sypały jak grad. Strażnik dał mi proszku, bo nie mogłam przez te wszy spać. Ja to mogłam leżeć, a inne kobiety cały dzień stały i miały nogi jak bałwany popuchnięte. Żołnierze, którzy nas w Mazowiecku pilnowali mówili, że Krakusa przy „kiblu” zakopali. Moja brat dostał dwa lata, ojciec siedem, a mąż osiem. Wielu ludzi z Wit aresztowali i uwięzili: Kowalewicza, Henrykę Kowalewiczową, Henryka i Krystynę Łapińską, Stanisława Łapińskiego, Tadeusza Perkowskiego, Tadeusza Łapińskiego, Józefa Łapińskiego, Jana Łapińskiego, Stanisławę Jabłońską, obecnie Płońską. Rzadko kogo nie aresztowali.

Lekarze orzekli

W domowym archiwum zachowały się dokumenty badań lekarskich. „Uwzględniając dane z akt, wywiad lekarski oraz wyniki badań specjalistycznych biegli zgodnie stwierdzają, że rozpoznane schorzenia spowodowały częściową niezdolność do pracy zarobkowej w związku z pobytem w więzieniu w 1952 roku. Ekstremalnie trudne warunki pobytu badanej w warunkach więziennych – opisane w wywiadzie – miały istotnie negatywne znaczenie na ujawnienie się dolegliwości i symptomów zaburzeń somatycznych oraz zaburzeń psychicznych. Stwierdzono żylaki kończyn dolnych, jak również zaburzenia psychiczne mające związek z pobytem w więzieniu i stosowaniem tam tortur i maltretowania młodej kobiety, będącej w ciąży. Należy nadmienić, że dramatyczne przeżycia torturowanej, niewinnej osoby i groźbą utraty życia mogły patogenicznie wpłynąć na rozwój ciąży. Fakt aresztowania męża i jego pobyt w tym samym czasie w więzieniu miał niekorzystny wpływ na sytuację badanej. Po opuszczeniu więzienia miała trudne warunki bytowe, ponieważ mieszkanie było zrabowane i zniszczone”. Warto jednak dodać, że pani Eugenia nigdy nie narzekała na swój los. Wychowała się przecież w rodzinie patriotycznej, więc przede wszystkim antykomunistycznej. Udzielanie pomocy partyzantom było naturalnym obowiązkiem.

Cierpiały za wykłętých...

Henryka Kowalewicz z Łap Wity otrzymała z Oddziałowej Komisji Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Białymstoku pismo w sprawie umorzenia postępowania dotyczącego przekroczenia uprawnień i niedopełnienia obowiązku oraz znęcania się fizycznego i innych działań funkcjonariuszy państwa komunistycznego – Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, podjętych w okresie od 22 sierpnia 1952 roku w Łapach Witach... wobec zatrzymanych mieszkańców tej miejscowości. Prokurator umorzył śledztwo z powodu

braku wykrycia sprawców. Lektura pisma jest wykazem cierpień mieszkańców Wit, także kobiet:

W swoich zeznaniach opisała okoliczności swojego zatrzymania w dniu 22 sierpnia 1952 roku. Po przewiezieniu do PUBP w Wysokiem Mazowieckiem przez dwa dni przebywała sama w celi. W tym czasie jej nie przesłuchiowano. Następnie została przewieziona do więzienia karno-śledczego w Białymstoku. Tam przesłuchujący funkcjonariusze UB wyzywali ją od prostytutek, grozili, że jeżeli niczego nie powie zostanie osadzona w karcerze. Kilka razy zmuszano ją do wielogodzinnego stania, raz nawet prawie całą dobę. Wyrokiem sądu z 30 kwietnia 1953 roku skazano ją na karę 12 lat więzienia...

Stanisława Płońska z domu Jabłońska – w dniach od 22 sierpnia do 30 sierpnia 1952 roku śledczy PUB w Wysokiem Mazowieckiem przekroczyli swoje uprawnienia wobec pokrzywdzonej, znęcając się nad nią fizycznie, bijąc w twarz, zmuszając do wielogodzinnego stania bez odpoczynku, przypalali rękę papierosem, wyzywali ją obelżywymi epitetami. W marcu 1953 roku prokurator wojskowy w Białymstoku, podczas przesłuchania na terenie więzienia przy ulicy Kopernika w Białymstoku, działając w celu uzyskania zeznań pokrzywdzonej, obciążających Kazimierza Kamińskiego ps. Huzar, wobec odmowy złożenia zeznań, zadał jej ciosy pięścią w twarz, wybijając jej cztery zęby z górnej szczęki.

Irena Alicja Bielewicz z domu Łapińska złożyła zeznania w 2004 roku. Została zatrzymana, wraz z siostrą Stanisławą, 22 sierpnia 1952 roku... Na krótko przed przetransportowaniem do Białegostoku funkcjonariusz UB wypytywał ją o miejsce pobytu Huzara. Kiedy powiedziała, że niczego nie wie, złapał ją za kołnierz palta i uderzył w twarz. Krzyczał, że zgnije w więzieniu. W wyniku tego pokrzywdzona miała obrzękniętą twarz, tendencję do wypadania dolnej żuchwy, doznała częściowego ubytku słuchu.

Stanisława Płońska, z domu Łapińska zeznała, że funkcjonariusz UB w Wysokiem Mazowieckiem, podczas jednego z przesłuchań dwa razy przypalił papierosem lewą rękę. Po około tygodniu została przewieziona do Białegostoku, gdzie zmieniający się funkcjonariusze kontynuowali przesłuchania, które najczęściej odbywały się w nocy. Prowadzący je wyzywali ją, wykręcali ręce, jeden kopał. Została też zaprowadzona do starszego mężczyzny, który twierdził, że jest prokuratorem. Powiedział skazanej, że zostanie przetransportowana do Łap na proces Huzara, gdzie będzie składać zeznania. Kiedy odmówiła, rozmówca uderzył ją w twarz. Miał na palcu duży sygnet. Wskutek tego ciosu Stanisława Łapińska straciła w górnej szczęce kilka zębów. – Stanisławę aresztowali za sweter zrobiony na dru-

tach. Chyba Krakusowi. Nawet nie bardzo wiedziała, że robiła go partyzantom. Dostała siedem lat więzienia.

Kobiety z Łap Wity, aresztowane, torturowane, więzione. Za niewinność – wszystkie zachowały się jak trzeba.

Zofia Olizar z domu hrabina Ożarowska

Grób jej jedyne go syna znajduje się na wiejskim cmentarzu w Pietkowie, w gminie Poświętne na Podlasiu. Na grobie jest skromny obelisk, zaś na nim wypisane są takie słowa: „Według woli ostatniej, chociaż ciało jej gdzie indziej spoczywa / Częstka duszy matki obok syna poczywa.”

Pochodziła z zamożnej ziemiańskiej, a przede wszystkim bardzo patriotycznej rodziny. Urodziła się w 1869 roku. Jej mężem był Władysław Olizar. Była dojrzałą kobietą, gdy rodziła się nasza niepodległość. Jednak natychmiast zgłosiła się na kurs sanitariuszek, uprawniający do „Pielęgowania w szpitalach wojskowych i Zakładach Krajowego Galicyjskiego Stowarzyszenia Czerwonego Krzyża”. Wzięła udział w bohaterskiej obronie Lwowa w listopadzie 1918 roku. Dwa lata później, podczas nawały bolszewickiej, pełniła służbę w wojskowym pociągu sanitarnym, będąc jego naczelnikiem. Jej bohaterstwo zyskało uznanie w opinii przełożonych. Była jedną z nielicznych kobiet awansowanych wówczas na stopień oficerski. Porucznik Zofia Olizar została także wyróżniona licznymi odznaczeniami, min.: Krzyżem Niepodległości, Złotą Odznaką Honorową za Zasługi dla Czerwonego Krzyża, Krzyżem Orleńskim, Krzyżem Obrońców Kresów Wschodnich. Zmarła w 1940 roku. Jej grób znajduje się w Kamionce Strumiłowej niedaleko Lwowa.



Wychowała syna na żołnierza

Stanisław miał trzy siostry, ale ziemiańskiej rodzinie to właśnie potomek męski zapewniał trwałość rodu. Urodził się w 1897 roku. Był nastolatkiem, gdy wybuchła I wojna światowa. Gdy ukończył 18 lat natychmiast

przerwał studia w Wiedniu i zaciągnął się do 2 Pułku Legionów. Brał udział w ciężkich walkach na Wołyniu. W listopadzie 1918 roku trafił na Podlasie, gdzie w majątku hrabiów Krasickich w Pietkowie formowały się pododdziały Dywizji Litewsko-Białoruskiej. Właśnie z Pietkowa podchorąży Stanisław Olizar wyruszył na wojnę bolszewicką w lutym 1919 roku. Tego dnia wydzielono z pułku szwadron zbiorowy – 120 ludzi i 80 koni i jak wspominał rotmistrz Buszyński: „zawagonowano go na stacji Łapy, skąd przez Białystok, w dniu 16 lutego przybyli do Wołkowyska”. Stanisław Olizar wyróżnił się w akcjach zwiadowczych, dowodząc kiluosobowym patrolem, który nieraz bił skutecznie przeważające siły wroga. Dlatego podchorąży Olizar został awansowany na pierwszy stopień oficerski i uhonorowany Krzyżem Walecznych. Wieloletnia frontowa służba wojskowa i odniesione rany, zniszczyły jego młody organizm. Porucznik Stanisław Olizar, jedyny syn podporucznika Zofii Olizar, zmarł 30 lipca 1926 roku. Pogrzeb miał oficerski- trumna na lawecie zaprzężonej w kare konie, koń za trumną, trąbka na cmentarzu... I matka.

Jak mówi Zbigniew Grzegorz Lassota, krewniak Olizarów mieszkający w Chicago, naszym obowiązkiem jest pamięć o tych wielkich, zwykłych ludziach. Poświęcili swoje życie dla Ojczyzny, tak byli wychowani. Czy Stanisław Olizar, jedyny syn Zofii, mógł być innym człowiekiem, mając taką matkę?

Grób porucznika Stanisława Olizara, na małym, starym wiejskim cmentarzu. Na nim wypisana tęsknota matki zamknięta w znamiennych słowach wyrzuty na nagrobnej tablicy. Na iluż polskich cmentarzach, tych wielkomiejskich, a także tych wiejskich są podobne groby. Bo taka jest nasza polska historia. I takie przez matki dzieci wychowanie...

Źródło: <https://www.radio.bialystok.pl/reportaz/index/id/59330>

Aniela Rybarczyk – profesor, żołnierz, zesłaniec... Zapomniana.

Swoje dorosłe życie podzieliła sprawiedliwie, po połowie, najpierw zamieszkując w Białymstoku, a następnie w Warszawie. 11 lat spędziła na sowieckim zesłaniu.

Urodziła się w 1896 roku w Przemyślu, w rodzinie Marii i Józefa Gąsków. Kształciła się w Białymstoku. W naszym mieście ukończyła Seminarium Nauczycielskie ze specjalnością nauczania geografii oraz w zakresie bibliotekoznawstwa. W białostockim Seminarium podjęła też swoją pierwszą



pracę. Jej mężem został matematyk Aleksander Rybarczyk. W 1937 roku małżeństwo przeniósł się do powstałego w naszym mieście Liceum Pedagogicznego Męskiego, które mieściło się w skrzydle pałacu Branickich. We wrześniu 1939 roku w salach szkolnych urządzono polowy szpital wojskowy. Profesora Aniela Rybarczyk z całym poświęceniem zaangażowała się w jego organizację i prowadzenie. Kierowała też służbą sanitarną drużyn starszoharcerskich. 7 września 1939 roku rozpoczęła się ewakuacja rannych do Wołkowyska. Do transportu Aniela Rybarczyk zaangażowała kilkudziesięciu harcerzy. Jeszcze przed wejściem Niemców do Białegostoku zorganizowała pomoc pozostającym w mieście wojskowym, przygotowując ubrania cywilne oraz odpowiednie dokumenty.

Nauczycielka i żołnierz konspiracji

W latach sowieckiej okupacji pozostała w Białymstoku. Jej mąż, żołnierz Września, trafił do niewoli sowieckiej i został osadzony w syberyjskim łagrze. W 1941 roku przedostał się do armii gen. Władysława Andersa, z którą przeszedł cały szlak bojowy. Tymczasem jego żona już we wrześniu 1939 roku zainicjowała w Białymstoku akcję ratowania księgozbiorów bibliotecznych. Była też współorganizatorką tajnego nauczania na szczuble szkole średniej. Od 1940 roku pełniła funkcję szefowej Wojskowej Służby Kobiet na terenie Obwodu ZWZ Białystok – Miasto. W 1943 roku, rozkazem pułkownika Władysława Liniarskiego ps. Mściśław została odznaczona Krzyżem Zasługi z Mieczami, zaś rok później Krzyżem Walecznych i Krzyżem Virtuti Militarii

V Klasy. Ppor.cw. Aniela Rybarczyk zajęła się także organizacją pomocy rodzinom aresztowanych. Sprawnie prowadziła szkolenie sanitarne oraz gromadziła zapasy lekarstw i środków opatrunkowych. Kierowana przez nią w Białymstoku Wojskowa Służba Kobiet odpowiadała również za prowadzenie tzw. melin, czyli zakonspirowanych mieszkań na potrzeby podziemia. Nadzorowała także pracę łączniczek i sprawne funkcjonowanie tajnej poczty na terenie miasta Białystok. Wiosną 1944 roku zorganizowała wszechstronną pomoc partyzanckiemu zgrupowaniu ppor. Stanisława Grygi, które operowało na terenie Puszczy Knyszyńskiej. Partyzanci otrzymywali regularne dostawy żywności, czystej bielizny oraz lekarstw. Po zakończeniu okupacji niemieckiej Aniela Rybarczyk zakończyła swą działalność konspiracyjną. Bez względu na ustrój, który nastał chciała powrócić do pracy w oświacie...

Zesłana na Sybir...

We wrześniu 1944 roku została aresztowana przez NKWD i wywieziona w głąb Rosji. Na zesłaniu w okolicach Kaługi przebywała 11 lat. Do Białegostoku powróciła w 1955 roku. Może dziwić fakt jej tak długiej zsyłki. Przecież z łagrów Sowietci zwalniali oficerów Armii Krajowej, funkcyjnych różnych szczebli, zaś ona – kobieta tkwiła na dalekiej Syberii. Warto dodać, że właśnie w syberyjskim kołchozie zyskała powszechny szacunek miejscowej ludności. Uczyła podstaw ogrodnictwa i urządzania ogródków warzywnych. Uczyła zasad higieny i... leczyła. Próbowwała wysyłać listy do rodziny w Polsce, która mieszkała w Jarosławiu, lecz cenzura je wstrzymywała. Tylko jeden raz sowiecki cenzor pomylił polski adres z rosyjskim, podmorskiewskim Jarosławiem. List trafił więc do rosyjskiej rodziny. Ta zaś, o dziwo przesłała go do Polski. W tym liście Aniela Rybarczyk prosiła o przysłanie jakiegokolwiek damskiej bielizny i... polskich książek. Jej jarosławscy krewniaczy obmyślili sposób na wysyłkę paczek. I tak, przez pewien czas, kilka razy w roku otrzymywała polskie dary, zawsze dzieląc się ze współuczestnikami niedoli. Tymczasem, w wyniku donosu o posiadaniu polskich książek, Aniela Rybarczyk została aresztowana, a następnie wysłana w najodleglejsze zakątki syberyjskiego Kraju Krasnodarskiego. W transporcie była jedyną kobietą. Żadna kołchozowa rodzina nie chciała jej przyjąć do siebie. Woleli mężczyzn, bardziej przydatnych do ciężkiej pracy. Przygarnęła ją samotna wdowa. Tymczasem okazało się, że we wsi ktoś miał maszynę do szycia, lecz nikt nie znał się na krawiectwie. Aniela Rybarczyk znała się na szyciu. Ta cenna umiejętność ją uratowała. Była przecież delikatną kobietą, nie nawykłą do ciężkiej pracy. Nie potrafiła też kraść, co przecież było normą w sowieckim świecie. Zyskała też wdzięczność miejscowych zesłańców za

pomoc w pisaniu lub czytaniu listów. Znała przecież dobrze nie tylko nasz język polski, ale także rosyjski i ukraiński.

Gdy mieszkańcy wsi, w której była na zsyłce, dowiedzieli się o jej zwolnieniu, wysłali do naszej rodaczki delegację z błaganiami o pozostanie. Obiecywali, że niczego jej nie zabraknie. I zaopiekują się nią do końca jej dni. Zdecydowała jednak na powrót do Ojczyzny.

Nauczycielka z powołania

W 1955 roku powróciła do Białegostoku i pracy w szkolnictwie. Została bibliotekarzem w Szkole Podstawowej i LO nr 1 TPD w Białymstoku. Szczęśliwie doczekała też powrotu męża z jego wieloletniej wojennej tułaczki. Małżonkowie otrzymali ofertę pracy w Zespole Szkół Elektrycznych w Warszawie, a także mieszkanie słuźbowe. Wyjechali więc z Białegostoku. Już wkrótce profesor Aniela Rybarczyk zyskała w nowej szkole wielki szacunek wśród młodzieży i grona pedagogicznego. Dlatego dyrektor szkoły nie wyraził zgody na jej odejście. W wieku 80 lat ponownie zwróciła się z prośbą o odesłanie jej na emeryturę. – Nie musi pani u nas nic robić – tłumaczył dyrektor szkoły. – Proszę tylko u nas być, proszę odwiedzać codziennie. Nie wyobrażam sobie naszej szkoły bez pani profesor.

Ta wspaniała kobieta – patriotka, nigdy nie zerwała swych więzów z ukochanym Białymstokiem. Miała tutaj wierne grono przyjaciół. Bywała też na zjazdach absolwentów Seminarium Nauczycielskiego i Liceum Pedagogicznego Męskiego. Zmarła 11 września 1981 roku w Warszawie. W archiwum płk. rez. Czesława Hake zachowało się kilka wierszy napisanych przez Anielę Rybarczyk na zesłaniu. I kilka fotografii z Nieludzkiej Ziemi.

Dziesiąte...

*Powiedzcie mi jaskółeczki
Co też to się stało,
Że was tu aż za poprzeczki
Kolczaste przygnało.
Czy na świecie tak źle wszędzie,
I u was się zmieniło.
Że wam gniazdka na obczyźnie
Spokojnie się wilo?
Powiedzcie mi ptasie roje,
Czarni podróżnicy,
Uspokójcie serce moje,
Rąbkiem tajemnicy.
Powiedzcie mi, jeżeli*

Powiedzieć mi nie chcecie.
Coście w stronach mych widzieli.
I co tam w świecie...
To pożyczcie skrzydeł moich,
Choć na dni parę,
Abym wylecieć mogła do moich...
W ciepłe kąty stare.
Bo gdy jak swobodnie
W przestworzach krążycie
Przeciw dziesiątemu zbrodnię
W sercu pieczę skrycie.
Pragnę skrzydeł, czyham na nie.
Zazdroszczę wam fruwanie,
Chociaż wiem, że przykazanie
Dziesiąte zabrania

Na podstawie materiałów z archiwum płk. rez. Czesława Hake

Kropla mleka doktor Berty

Była znanym w Białymstoku lekarzem, bibliotekarzem i społecznikiem. Ma swoją ulicę na krańcach naszego miasta. Zmarła w 1980 roku, więc niemal przed półwieczem. Niewielu jest takich, którzy ją pamiętają. A pamiętać naprawdę warto.

Doktor Jan Szafranec – Studiowałem w białostockiej Akademii Medycznej. Pamiętam doktor Szaykowską. Emanowała z niej niezwykła elegancja i naturalne ciepło. Tworzyła klimat akademickiej biblioteki. Jego opinię podziela doktor Tadeusz Borowski-Beszta. – Jej wysoka kultura osobista wymuszała na otoczeniu podobne zachowanie i poziom – tłumaczy. – Wszyscy pracownicy naszej biblioteki prezentowali bardzo wysoką kulturę. Może to zasługa ich szefowej? – zastanawia się nasz rozmówca. – Studiowałem w trudnych czasach. To przecież były początki istnienia uczelni. Pani Szaykowska doskonale wiedziała, jak wielką rolę odgrywa medyczna literatura fachowa. Nie wiem, jak potrafiła to robić, ale dzięki niej mieliśmy dostęp do czasopism medycznych z zagranicy. Nie tylko radzieckich – dodaje. – A w prowadzonej przez nią bibliotece i czytelnicy nie było różnicy – profesor akademicki, czy student. Wszyscy byli czytelnikami. Jednak powtórzę jeszcze raz – najbardziej zapamiętałem jej wyjątkową kulturę osobistą. Wie-

dzieliśmy doskonale, że zanim zatrudniła się w akademickiej bibliotece była znakomitym lekarzem. Możliwe, że w wielu z nas tę swoją część kultury i etyki lekarskiej zaszczepiła...

W archiwum o doktor Bercie...

Paweł Radziejwski jest kierownikiem archiwum Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku. Opowie nam o doktor Bercie.

– Jej dokonania na polu medycyny są znane – mówi kierownik archiwum. – Dobrze jest opisana działalność w okresie przedwojennym. Jednak nie jest znana rola w budowie uczelnianej biblioteki. Doktor Szaykowska nie tylko stworzyła potężny księgozbiór, ale też nadała bibliotece kierunki działania. Biblioteka stała się wówczas jedną z placówek naukowych akademii. Pani kierownik potrafiła zaprenumerować fachową zagraniczną, nie tylko radziecką, literaturę i prasę medyczną. Jej pracownicy – bibliotekarze, wszyscy byli humanistami z wykształcenia. Szefowa biblioteki i z tym problemem świetnie poradziła. Systematycznie zapraszała do siebie kierowników wydziałów i klinik naszej placówki. Ci zaś robili wcześniej rozeznanie wśród kadry naukowej i medycznej w zakresie potrzeb literatury naukowej. Reszta należała do bibliotekarzy. Doktor Berta była lekarzem. To również było jej atutem, który świetnie wykorzystała. Pisała więc listy, dzwoniła do koleżanek i kolegów po fachu, prosząc o dary książkowe na rzecz uczelni. Zainicjowała też działalność wydawniczą. Biblioteka akademicka publikowała najwartościowsze prace naukowe pracowników naszej uczelni. Była też pomysłodawcą konferencji naukowych, których plon zamieniała w skrypty i broszury. Ściągała do biblioteki wszelkie opracowania z opisami nietypowych objawów chorobowych lub zabiegów medycznych. Był to niezwykle cenny materiał naukowy, potrzebny nie tylko studentom, ale także kadrze naukowej uczelni.

Kierownik archiwum sięga po tekturowe teczki. – Tutaj mamy przykład niezwyklej pracowitości pani Berty. – Jest w tych teczkach mnóstwo cennych materiałów do zaplanowanego przez doktor Szaykowską „Słownika lekarzy województwa białostockiego”. Jak zbierała materiały? Przede wszystkim korespondowała z przyjaciółmi – lekarzami rozsianymi po całym regionie. Oni zaś chętnie pomagali, robiąc wywiady w terenie, a nawet szukając grobów lekarzy na miejscowych cmentarzach. Odwiedzała również państwowe archiwa. Odeszła na emeryturę w 1966 roku, ale nadal pracowała, na pół etatu, w uczelnianej bibliotece. Nie ze względu na dawne zasługi, ale przede wszystkim wiedzę, jasny umysł i pracowitość. Pracowała prawie do ostatnich dni swojego życia – mówi Paweł Radziejewski. Na chwilę milknie. – Muszę jeszcze coś ważnego dodać. Otóż doktor Szaykowska, nie

mając własnych dzieci, pomogła finansowo sześciorgu sierotom, ofiarując im pomoc pieniężną nie tylko na czas studiów, ale też na start w dorosłe życie. Taka właśnie była nasza pani doktor.

Życiorys pani doktor

Na ślady Berty i Wacława Szaykowskich można natrafić, czytając opowiadania znanej pisarki Marii Dąbrowskiej. Otóż wspomina ona o swych



wizytach w Białymstoku. Gościła wówczas w domu należącym do rodziców naszej bohaterki. Berta urodziła się 24 września 1889 roku. Jej ojciec Antoni Sznajder był urzędnikiem państwowym. Matka – Maria – pochodziła z rodziny Ołdakowskich. We wspomnianym drewnianym domu przy ulicy Mazowieckiej 7. Berta spędziła prawie całe swoje życie. W tym też domu dorastał Ryszard Kaczorowski, późniejszy Prezydent RP na Uchodźctwie. Był on spokrewniony ze Sznajderami. W 1917 roku Berta ukończyła Żeński Instytut w Charkowie i wyszła za mąż za niemieckiego oficera Adolfa Kajzera. Dwa lata później mąż zmarł na tyfus. Berta powróciła do rodzinnego Białegostoku. Podjęła pracę w Szpitalu Zakaźnym, a następnie na oddziale wewnętrznym Szpitala św. Rocha. Skupiła się na opiece medycznej kobiet i dzieci. Dlatego przez wiele lat pracowała w „Opiece nad Matką i Dzieckiem”. Była także lekarzem szkolnym przy Żeńskim Gimnazjum im. Anny ks. Jabłonowskiej. Z jej inicjatywy wprowadzono drugie śniadanie dla wszyst-

kich uczennic oraz lekcje higieny. Wyszła ponownie za mąż za doktora Wacława Szaykowskiego. Troskliwie zaopiekowała się przybranymi synami: Tadeuszem i Januszem. Z jej inicjatywy podjęto w Białymstoku akcję pod nazwą „Kropla mleka”, której celem było bezpłatne zapewnienie specjalnie przygotowanego mleka niemowlętom, nie mającym możliwości korzystania z pokarmu matek. Upowszechniła szczepienia ochronne przeciw wietrznej ospie. Z jej też inicjatywy powołano w Białymstoku Stację Opieki nad Matką i Dzieckiem oraz Poradnię Świadomego Macierzyństwa. Otaczała opieką medyczną dzieci z biednych rodzin, szczególnie tych z licznymi schorzeniami.

Dom Szaykowskich w okresie międzywojennym był autentycznym ośrodkiem kultury humanistycznej i życia umysłowego w Białymstoku. Gościli w nim wybitni ówcześni literaci i działacze kulturalni, tacy jak: Kazimierz Wierzyński, Jan Parandowski, Tadeusz Boy-Żeleński. Zawsze ulegali prośbom gospodyni i wygłaszali odczyty na spotkaniach organizowanych przez Koło Miłośników Historii, Literatury i Sztuki w Białymstoku, których dr Berta Szaykowska była współorganizatorem.

We wrześniu 1939 roku zorganizowała w Białymstoku szpital wojenny. Objęła też komendę nad specjalnym pociągami sanitarnym, którym wywieziono z miasta rannych polskich żołnierzy. W okresie sowieckiej okupacji pracowała w Ambulatorium Pediatrycznym w Białymstoku. W latach okupacji niemieckiej pozostała w Białymstoku. Podjęła współpracę z Tajną Organizacją Nauczycielską (TON). W 1943 roku w mieszkaniu państwa Szaykowskich odbyły się pierwsze egzaminy maturalne tajnego kompletu. W 1945 roku ponownie podjęła pracę w Stacji Opieki nad Matką i Dzieckiem, a także w Państwowym Domu Dziecka oraz Sekcji Higieny Szkolnej Wojewódzkiej Stacji Sanitarnej-Epidemiologicznej. W 1953 roku objęła stanowisko dyrektora w Bibliotece Akademii Medycznej w Białymstoku.

Kobieta czynu

Uczestniczyła aktywnie w życiu społecznym Akademii Medycznej i regionu. Przez kilka kadencji była przewodniczącą Zarządu Wojewódzkiego Towarzystwa Świadomego Macierzyństwa w Białymstoku, a także aktywnym członkiem Oddziału Białostockiego Polskiego Towarzystwa Pediatrycznego i Polskiego Towarzystwa Lekarskiego. Była organizatorem i pierwszym prezesem Białostockiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Historii Medycyny. Ponadto działała w licznych organizacjach społecznych, takich jak: Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich i Białostockie Towarzystwo Naukowe. Należy dodać, że nowa, powojenna władza potrafiła uznać jej autorytet w środowisku medycznym. I to uznanie doktor Szaykowska nieraz wykorzy-

stywała dla potrzeb Akademii Medycznej, białostockiej służby zdrowia lub zwykłych ludzi znajdujących się w potrzebie.

Pod koniec 1966 roku dr Berta Szaykowska przeszła na emeryturę. Miała wówczas 77 lat, lecz nadal pozostała na pół etatu na stanowisku kustosa w bibliotece akademickiej. Zbierała materiały dotyczące znanych, a nieżyjących już lekarzy, związanych z Białostoczczyzną.

Doktor Berta Szaykowska zmarła 8 sierpnia 1980 roku. Pochowana została we wspólnym grobie z wcześniej zmarłym mężem Wacławem Szaykowskim na Cmentarzu Miejskim w Białymstoku.

Liceum Pedagogiczne było moim całym życiem

Wielka erudycja, wysoka przedwojenna kultura, umiejętności wychowawcze, codzienny humor i uśmiech, a przede wszystkim aktywność, aktywność i jeszcze raz aktywność. Taka była Helena Żyłkiewicz z Żylińskich. W 1949 roku założyła liceum przedszkolank. – Szkole, którą utworzyłam, poświęciłam się bez granic... – mówiła.

Kilka pokoleń wychowawczyń przedszkoli, nauczycielek nauczania początkowego, a także licealistów z LO IV przy ulicy Żłotej 4 w Białymstoku, doskonale ją pamięta. Była nie tylko dyrektorem szkoły, ale też wspaniałym nauczycielem, wychowawcą, przyjacielem...

– Była naszym dyrektorem w LO IV, kierując także Studium Wychowania Przedszkolnego – wspomina Marian Olechnowicz. – Pamiętam pierwszy apel szkolny. Warto dodać, że dotychczas w budynku przy ulicy Żłotej 4 uczyły się wyłącznie dziewczęta. Dyrektor Helena Żyłkiewicz wygłosiła wówczas taką mowę: W naszej szkole po raz pierwszy pojawili się chłopcy. Zarządzam więc co następuje: Wchodząc po schodach nie mają prawa patrzeć w górę. – Gdzie jest dyrektorski humor? Otóż znajdzie go ten, kto pamięta jak prezentowała się spódniczkowa moda AD 1971. Taką właśnie była Helena Żyłkiewicz – humor i wychowanie. Już po roku naszej nauki zaczęła szykować się do odejścia na emeryturę. Dlatego zaczęła naukę jazdy na łyżwach. Asekurowali ją ofiarnie nasi koledzy, a pani dyrektor z humorem pocieszała: Nie martwcie się o moje upadki. Przecież, mówiła, nawiązując do swojego niezbyt słusznego wzrostu. Z wysoka nie zlecę. – Spotkałem ją po bardzo wielu latach. I po raz kolejny mnie zadziwiła. Otóż okazało się, że dosłownie po chwili zastanowienia, tak skwitowała: Uczeń z klasy profesor Łoszewskiej. Poznaje. Helena Żyłkiewicz miała nie tylko świetną pamięć, ale



też interesowała się losami wszystkich swoich absolwentów. I była zawsze ze wszystkich dumna.

Liceum Pedagogiczne dla Wychowawczyń Przedszkoli

W 1949 roku Helena Żyłkiewicz stanęła przed nielada wyzwaniem. Miała w Białymstoku zorganizować nowy typ szkoły, czyli znaleźć tymczasową siedzibę, dobrać kadrę pedagogiczną, opracować programy nauczania, a przede wszystkim zabrać się za budowę szkoły oraz internatu. – W sfinansowaniu tej budowy – wspominała Helena Żyłkiewicz – pomógł mi ówczesny wiceminister oświaty Jan Szkop – mój kolega ze studiów wileńskich. Tak więc w jedenaście miesięcy, przy ulicy Złotej 4, powstała szkoła z internatem, a rok później przedszkole przy ulicy Łąkowej. Tam nasze uczennice miały odbywać praktyczną naukę zawodu.

Profil szkoły zyskał od razu dużą popularność. Wiadomo było, że absolwenci natychmiast znajdą zatrudnienie. Były to przecież lata powojennego wyżu demograficznego, więc zapotrzebowanie na przedszkolanki i nauczycielki było wielkie. Internat nie mógł pomieścić dziewcząt pochodzących z terenu. A tych była większość. Helena Żyłkiewicz poradziła sobie z tym problemem, spisując umowy najmu mieszkań i pokoi w okolicznych domach. – W internacie przy ulicy Złotej – wyliczała w swoich spisanych wspomnieniach – mieszkało 130 dziewcząt, przy ulicy Sobieskiego kolejnych 40, a na

stancjach 50. Liceum było moim całym życiem. W szkole przebywałam od poniedziałku do soboty włącznie, zawsze od siódmej rano do godziny szesnastej. Nasze dziewczyny miały mnóstwo ciekawych zajęć pozalekcyjnych: chór, orkiestra, koło literackie i filmowe, zajęcia z rytmiki i tańca... Wszystkie prace domowe odrabiały w szkole. Zawsze któryś nauczyciel służył wówczas pomocą. Tak więc szkoła tętniła uczniowskim życiem aż do godziny 17. Ważnym elementem edukacji były klasowe wycieczki śródroczne i wakacyjne obozy. W ten sposób nasze uczennice nie tylko poznawały kraj, a przecież nieraz pochodziły z bardzo małych miejscowości, ale też, jako przyszłe nauczycielki, uczyły się organizacji wyjazdów. Szczególną uwagę przywiązywałam do estetycznego stroju moich uczennic – tłumaczyła. Pozostanie też jej tajemnicą sposób w jaki zdobyła pianina, które stały nie tylko w wielu pracowniach, ale także i szkolnych holach.

– Przedszkolanki przecież nie tylko musiały znać się na nutkach i śpiewie, ale też i zagrać na pianinie lub akordeonie – tłumaczyła.

Warto dodać, że pani dyrektor swoją kobiecą elegancją, a przede wszystkim piękną wymową i wysoką kulturą osobistą, miała wielki wpływ na swoje wychowanki. Wszystkie te cechy ważne są w każdym zawodzie, lecz najbardziej w nauczycielskim. W swoim pamiętniku pani dyrektor tak jeszcze napisała: Atrakcyjność szkoły i jej wysoki poziom to zasługa wybitnej, fachowej kadry nauczycielskiej, którą udało się mi zatrudnić.

Każdy absolwent szkoły może potwierdzić słuszność tej opinii. W 1972 roku Helena Żyłkiewicz odeszła na bardzo zasłużoną emeryturę. Jednak do końca swych dni bardzo interesowała się sprawami białostockiej oświaty. Nie przesiadywała w zaciszu domowym. Była bardzo aktywna społecznie. Trudno wymieć nazwy wszystkich instytucji i organizacji, w których czynnie działała. Na wszystko potrafiąc znaleźć czas. Zawsze lubiła czytać książki, ale nigdy w ciągu dnia na czytanie, nawet na emeryturze, nie miała czasu. Do lektur zabierała się więc grubo po godzinie 20. Nigdy, przenigdy nie narzekała na swoje zdrowie. Bo jak mogła narzekać kobieta, która nawet w wieku 90 lat, każdą sobotę spędzała na basenie kąpielowym...

Prawdziwie Kresowa biografia pani Heleny

Rodzina Żylińskich, bo tak brzmiało nazwisko panieńskie Heleny, pochodziła z Wileńszczyzny. Przed ponad 100 laty zamieszkali przy ulicy Sportnej na białostockich Bojarach. Właśnie tutaj Helena mieszkała w drewnianym rodzinnym domu aż do końca swego życia. – Mój dziadek, za udział w powstaniu styczniowym – napisała w swoich wspomnieniach – był zesłany na Sybir. Ojciec też konspirował przeciwko rosyjskiemu zaborcy. W 1906 roku Jerzy Żyliński został aresztowany i zesłany. Na Syberii zapo-

znał rodaczkę z Wileńszczyzny i wziął z nią ślub. Córka Helena przysłała na świat w 1913 roku. W 1922 roku rodzinie udało się wyjechać z Rosji objętej pożogą rewolucyjną. Do rodzinnego, ziemiańskiego majątku nie mogli jednak powrócić. Był nie tylko zniszczony, ale też znalazł się w granicach Litwy. Żylińscy woleli zamieszkać w odrodzonej Polsce. Właśnie w Białymstoku. Jerzy Żyliński, który miał dobre rolnicze wykształcenie, bez trudu znalazł posadę. Córka Helena szybko nadrabiała szkolne zaległości. Była przecież zdolną dziewczyną. Z wyróżnieniem ukończyła Gimnazjum im. Księżnej Anny Jabłonowskiej. Na studia humanistyczne wybrała się do Wilna, łącząc dwa kierunki: historię i łacinę. Na trzecim roku studiów zapisała się na dodatkowe studia w miejscowej Wyższej Szkole Politycznej. Umiała to wszystko ładnie ogarnąć, w dodatku znajdując czas na działalność społeczną w Bratniaku, gdzie udzielała się jako dziennikarka. Jeszcze podczas studiów związała się z ZMW Wici. Chciała nauczać w jakiejś wiejskiej szkole, aby krzewić oświatę na wsi Kresowej. Los chciał inaczej. Po studiach powróciła do Białegostoku. W 1937 roku została zatrudniona w swoim dawnym gimnazjum. Uczyła historii i łaciny. Z łatwością zyskała sympatię swoich uczniów.

Nauczycielka Tajnego Nauczania

Dwie okupacje przetrwała w Białymstoku. Ale nie bezczynnie. W poczuciu nauczycielskiego obowiązku została członkiem Tajnej Organizacji Nauczycielskiej i zaczęła nauczać na tzw. kompletach w Białymstoku, Jasionówce, Pawelcach i Przesławce.

– 1 października 1939 roku, już po wejściu Sowietów do Białegostoku – pisała w swoich wspomnieniach – nauka w szkołach została wznowiona. Zostałam zatrudniona w dziesięciolatce przy ulicy Fabrycznej... W miejsce historii Polski pojawiła się nauka o dziejach Wielkiej Komunistycznej Partii Bolszewickiej, a język polski stał się przedmiotem dodatkowym. Patriotyczna młodzież samorzutnie organizowała kółka samokształceniowe. Nauczyciele nie pozostali na uboczu. To były czasy, które nazywaliśmy utajnionym tajnym nauczaniem – objaśniała na kartach pamiętnika. W czerwcu 1941 roku do Białegostoku weszli Niemcy. Szkoły zostały zlikwidowane. Jeszcze w tym samym roku zaczęły powstawać struktury Tajnej Organizacji Nauczycielskiej i szkół różnych stopni. Oczywiście tajnych. Helena Żyłkiewicz natychmiast podjęła się nauczania na tzw. kompletach. Białostockie Bojary, ze swą drewnianą zabudową oraz dużymi, półdzikimi ogrodami, były dobrym miejscem do prowadzenia takich właśnie kompletów. Nauczyciele nie pobierali wynagrodzenia. Tylko w klasach starszych brano opłatę w postaci... 1 kilograma tłuszczu za miesiąc nauki. – Na Bojarach była kumulacja liczby nauczycieli – 58, uczniów – 320 oraz ilości kompletów – wyliczała pani Helena. Pełniła

funkcję łącznika terenowego, a także uczyła historii i łaciny aż na 10 kompletach. W sierpniu 1943 roku została aresztowana przez Gestapo za... pomoc udzielaną Żydom. – Szybko odzyskałam wolność – wspominała – dzięki Niemcom, którzy wcześniej byli moimi uczniami. Jednak Białystok musiała opuścić. Została, wraz z rodziną, ulokowana w okolicach wsi Jasionówka. Tam zaczęła naukę na zorganizowanych kompletach w zakresie nauczania na poziomie szkoły powszechnej. Niemcy jeszcze byli w Białymstoku, kiedy Helena Żyłkiewicz postanowiła pwrócić do miasta. Już w sierpniu tego roku stawiała się do pracy w odradzającym się szkolnictwie. Całą swoją energię skupiła na uruchomieniu Gimnazjum im. Zygmunta Augusta. Budynek był mocno zdewastowany, ale trudno było o lepszy w zrujnowanym mieście. Pięć lat później poświęciła się organizacji szkoły kształcącej „przedszkolanki”...

W tekście wykorzystano fragmenty książki: Zbigniew Tomasz Klimaszewski, Zapomniani bohaterowie białostockich Bojar, Białystok 2015



Białystok, ul. Żłota 4

Zachowały się jak trzeba...

Zapewne to dopiero początek – nasza pierwsza publikacja, pierwsze szlify reporterskie, a także komputerowe. Okazało się też, że książkę napisać nie jest tak trudno. Wystarczy chcieć. I znaleźć pomocnych ludzi. Tacy są wszędzie, w każdej gminie i w każdej miejscowości. Wskażą naprawdę ciekawe, godne opisanía postacie kobiece. Dopiero wówczas zrozumieliśmy, że na uznanie ze strony lokalnej społeczności można zapracować w bardzo prosty sposób – być dobrym, uczynnym, pracowitym, moralnym człowiekiem. I nic więcej.

Cieszy fakt, jak chętnie z pomocą pośpieszyli nam pracownicy instytucji gminnych. I tak w gminie Zabłudów radą nam służyły panie z miejskiej biblioteki. Wskazały nam listę kobiet wartych opisanía. Gmina Narewka nie tylko okazała się wielce pomocna, ale też gościnna. Pani Barbara Bielawska z miejscowego Gminnego Ośrodka Pomocy oraz panie z Samorządowej Biblioteki uznały, że koniecznie w naszej książce muszą znaleźć się biografie kobiet z rodzinnych stron Inki. I znalazły. Nikt nie zna gminy Wasilków lepiej od Antoniego Pełkowskiego, który był tam burmistrzem, ale jest też historykiem – regionalistą. Bez namysłu wskazał nam kandydatki do naszej książki. I znowu należało wybrać zaledwie dwie, chociaż lista była dłuższa. W Łapach pomocników było aż nadto: Alicja Łapińska z Biblioteki Publicznej Miasta i Gminy Łapy, Edyta Łapińska z Wiejskiego Domu Kultury w Łapach Szolajdach, a także studenci z miejscowego Uniwersytetu III Wieku. Znowu lista była dłuższa od zaplanowanej ilości stron w książce. Należało przecież rozdzielić je w miarę sprawiedliwie na przynajmniej kilka podlaskich gmin. W gościnnym Krzyżewie w gminie Sokoły historyk Jacek Tomkiel wskazał jedną kobietę postać, ale wartą oddzielnej książkowej biografii. Nad taką właśnie pracuje. Cieszy więc fakt, że podzielił się z nami zgromadzoną wiedzą o Stefanii Karpowicz. Listę harcerek przygotował nam druh Andrzej Bajkowski. W naszych wędrówkach po regionie dotarliśmy aż do Wizny. Pani Marta Laskowska z Ośrodka Pomocy Społecznej przygotowała krótką, ale cenną listę kobiet, których biografie warte są spisania. Mieliśmy w Wiźnie okazję podzielić się naszym doświadczeniem pracy klubu seniora. I obejrzelśmy cenną kronikę miejscowej biblioteki, w której są liczne wątki biograficzne kobiety szczególnie zasłużonej dla lokalnej kultury.

Zachowały się jak trzeba – kobiety z Małych Ojczyzn na Podlasiu. Są takie w każdej gminie i wsi. Nauczycielki, sołtysowe, położne, gospodynie domowe, niby zwykłe – niezwykłe, a jednak zyskały społeczne uznanie i szacunek.

Nasza praca nad książką miała także cenny walor – wycieczki po Małych Ojczyznach. Okazało się, że nie trzeba szukać ciekawych miejsc gdzieś w Polsce. Nasze Podlasie jest po prostu piękne. I kobiety w nim mieszkające.